



TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY“

(wraz z bezpłatnym dodatkiem)

W Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rs. 2, rocznie rs. 8 z odnoszeniem do domu.

Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagraniczy: kwartalnie rs. 2, k. 50, rocznie rs. 10.

Adres: Marszałkowska (róg Żórawiej) Nr. 95.

Administracja otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych od godz. 10 do 5.

Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.

Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracja Prawdy oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.

Sprzedaż pojedynczych numerów po k. 20 w Warszawie w Administracji pisma i w kioskach.

Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 10 za wiersz lub jego miejsce.

TREŚĆ: *Polityka:* Szlachetna mrzonka. — Z Austrii p. N. — Tydzień polityczny. — *Odcinek:* Karolka, p. Cecylię Walewską. — *Życie społeczne:* Rozkaz Najwyższy. — Listy wiedeńskie p. Stwosza. — *Badania naukowe:* Kartka z dziejów fanatyzmu i bezładu II, p. A. G. Bema. — Teorya przestępstwa politycznego (Lombroso i Lasch), II. Strona antropologiczna i psychologiczna, p. Lud. Krz. — Filozofia nieświadomości a darwinizm p. S. Prąd spekulacyjny w Geografii (Dokończenie) p. W. Nałkowskiego. — *Literatura i sztuka:* Nowy słownik nauk państwowych p. L. — *Fejleton:* Liberum veto p. Z. — Na widnokręgu p. Z. Atanazego. — Kronika. — Odpowiedzi redakcyi. — Ogłoszenia.

POLITYKA.

SZLACHETNA MRZONKA.

Czytelnikom *Prawdy* z osobnych w tym przedmiocie artykułów wiadomo, jak dawno już w dziejach cywilizowanego świata pokutuje idea wiecznego pokoju i międzynarodowych sądów rozjemczych. Wypląsali ją z głów ludzkich wszyscy praktycy, t. z. „politycy realni,” którzy uznawali ją za mrzonkę niemożliwą do spełnienia. Mimo to uwieźla ona w przekonaniach, w teoriach, w rojeniach o przyszłości, w których tkwi dotąd uparta, niepokonana i wiecznie odmładzająca się. Szczególną moc żywotność nadaje jej ta coraz szerzej roztańczająca się wiara, że przecież kiedyś narody zaprzestaną barbarzyńskich walk, mordów i grabieży, jak ich zaprzestały już jednostki; że to, co się dokonało w stosunkach osobników każdego społeczeństwa, to również dokonać się musi w stosunkach społeczeństw. Kto nie wątpi o postępie, nie może również wątpić i o tej jego fazie; zachodzi tylko pytanie, o ile zbliżyliśmy się do możliwości usunięcia wojen, jako środka rozstrzygającego spory międzynarodowe.

Posel włoski Bonghi mniema, że już nadeszła ta pora; więc wystąpił z wnioskiem do Izby, ażeby ta wezwała rząd do zajęcia się tą sprawą, innemi słowy: nakłonienia dla niej wszystkich państw. Crispi z największą gotowością, która go nie nie kosztowała, pochwalił szlachetną myśl Bonghiego, ale oświadczył, że ona w obecnych czasach jest niemożliwą do urzeczywistnienia i że Włochy są w stanie zrobić tylko to, co robią: zapobiegać wojnie pokojem zbrojnym. Po tem objaśnieniu złożono utopię do archiwum — i na obraz sielankowy spadła zasłona.

Ale niezadługo podniosła się ona znowu w Londynie, gdzie obradować zaczął kongres przyjaciół pokoju, wielkiego stowarzy-

szenia międzynarodowego, które corocznie w różnych miastach powtarza swój zbiorowy głos wołających na puszczy. Naturalnie i tam idea wiecznego pokoju i sądów rozjemczych zajaśnieje całym blaskiem i zgaśnie.

Zdawałoby się, że wypisywanie jej na sztandarze dziś, w epoce panowania militarizmu, w czasie milionowych armij i miliardowych na nie wydatków, w chwili gorącego ruchu uzbrojeń — jest poprostu donkiszoteryą. Niewątpliwie, ale jeśli z drugiej strony zważymy ten olbrzymi i ciągle wzrastający ciężar pogotowia wojennego, który gniecie narody, nie zadziwi nas to, że właśnie w takiej chwili ożyło pragnienie wiecznego pokoju i sądów rozjemczych. Przed paru jeszcze laty mniemano, że to brzemie w jakimś starciu spadnie, że trwoga w szybkiej katastrofie się skończy, że nadciągająca burza oczyści duszącą atmosferę. Teraz już ta nadzieja osłabła, odkąd ze wszech stron kosztowny, rujnujący i miazdzący pokój zbrojny uznany został za położenie trwałe, za normalny układ stosunków międzynarodowych. Kierownicy polityki Niemiec, Austrii, Włoch i Francji oświadczyli wyraźnie, że nieprzerwane uzbrojenia będą szły bez końca, bez kresu, bez oznaczonego terminu, jako główny kierunek rozwoju państw. Twórca tego kierunku, ks. Bismark niedawno rzekł z ironią, że każdy nowy pułk stanowi nowe premium asekuracyjne pokoju, który bez tego ubezpieczenia nie da się dziś nawet pomyśleć. Dawniej, pomnażając liczbę żołnierzy i wydatki wojskowe, nadawano tym przygotowaniom charakter tymczasowy, ograniczony blizkim celem, zamierzoną wojną; dziś potęguje się siły militarne z takim przekonaniem o ich trwałości, jak np. buduje się zakłady przemysłu lub oświaty. Widok właśnie tych, w daleką przyszłość sięgających uzbrojeń, tego na długie lata pogotowia wojskowego natchnął marzycieli myślą wyjścia z okropnego położenia zapomocą ustanowienia międzynarodowych sądów rozjemczych. O ile więc idea ta jest

oderwanym od rzeczywistości snem, o tyle odpowiada istotnemu nastrojowi teraźniejszości. Zresztą, kto wie, czy ona prędzej niż sądzimy, nie okaże się jedynym rozwiązaniem splątanego węzła stosunków i zatararów międzynarodowych. Gdy wszystkie państwa staną pod bronią, gdy do ostatecznych granic wyteżą swe siły militarne, gdy środki mordercze doprowadzone zostaną do najwyższej doskonałości, gdy nikt nie zechce rozpocząć ryzykownej i nieobliczonej w swych skutkach wojny, może wtedy szlachetna mrzonka będzie najpraktyczniejszą radą.

Z AUSTRII.

Kruszenie się ugody czesko-niemieckiej. — Wybór delegatów do czeskiej Rady szkolnej. — Widoki na „Beantennministerium“ w Austrii.

Kto pomija słowa a faktów się trzyma, w układzie czesko-niemieckim upatrywać musi nie podstawę pojednania zwaśnionych narodowości, lecz zarzewie walk coraz to nowych. Jeżeli już generalna nad urzeczywistnieniem programu ugodowego dyskusja w sejmie czeskim przedstawiała obraz groźnych walk parlamentarnych, to dziś, gdy punkty szczegółowe praktycznie w życie mają być wprowadzone, maska zgody spada, a walka toczy się jawnie. Wybór delegatów do czeskiej Rady szkolnej był w tych dniach przedmiotem namiętnych rozpraw w prasie czeskiej, austriackiej i niemieckiej. Rada Pragi wybiera dwóch delegatów do tej Rady ze swego łona. Warunki układu wiedeńskiego zobowiązywały Czechów do wyboru jednego przedstawiciela niemieckiego. Kiedy niemieccy członkowie konferencji ugodowych zapytywali o rękojmię tego wyboru, Rieger odparł, że ta rękojmia może być jedynie moralną, nie formalną, i że ją w tej chwili składa delegatom niemieckim. Schmejkal w imieniu ich na to się zgodził.

Dziś, kiedy wybory się odbyły, niemcy rezultatu ich nie przyjmują, uważając je za wezwanie do walki, za wiarołomność polityczną i lekceważenie stronnictwa swego. Obrano jednak istotnie Niemca — Heinri-

cha, posła do Rady państwa, dyrektora gimnazjum w Pradze. Kimże jest ten niemiec Heinrich, który tak nie przypadł do gustu swym rodakom? Jest on naprzód mężem czeski, córki burmistrza praskiego; powtórnie zwolennikiem odrębnego w polityce czesko-niemieckiej kierunku; głównym dawniej a dziś jedynym pono w Radzie państwa przedstawicielem t. zw. „Wirthschaftspartei“, która nie bacząc wcale na utarczki narodowościowe, bronić pragnie wspólnego, ekonomicznego interesu kraju. Rzecz jasna, że w czasach tak zaostrej walki narodowościowej człowiek z podobnym programem uchodzi za odstępcę. Tem też mianem obrzucają Heinricha pisma niemieckie. Czesi, o ile myślą o swej obronie, dowodzą w pismach, że początkowo nie proponowali wyboru Heinricha, lecz chcieli oświadczyć się za profesorem wszechuicy dr. Ludwigiem, na którego niemieckości niema plamy: kandydata jego wszakże odrzucili Niemcy, gdyż i on — ożeniony z czeszką. Heinricha wybrano tedy niejako „na złość“ z całą świadomością, że pretensjom Niemców zadość nie czynią. Niemcy rozpoczynają akcyę, która zaraz w pierwszych dniach groźne przyjęła rozmiary: z wielu miast niemieckich rady gminne wysłały telegramy do delegatów komisji ugodowej, wzywające ich do zerwania ugody. Pismom niemieckim zaś donoszą, że pozycya hr. Taaffego zachwiała się, że cesarz przestał ufać skuteczności jego polityki i że zamierzając, usunąwszy gabinet obecny, powołać do życia ministerstwo złożone z urzędników („Beamtenministerium“), które w miejsce systemu układów i konferencyi postawi system dekretów.

N.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Rozmowy korespondentów dziennikarskich z rozmaitymi dostojnikami stanowią obecnie główny spłotematów politycznych. W splocie tym najgrubszą nicią są wynurzenia ks. Bismarka, który nie przestaje miotać się w bezsilnym gniewie. Przyjął on u siebie współpracownika *Frankf. Journal*, któremu oświadczył, że dzienniki, da-

wniej mu służące, obecną swą ku niemu obojętnością lub niechęcią zdradziły swą podłość, że konferencya zwołana w sprawie robotniczej była dziełem frazeologii a jej wynik równa się zeru, że Helgoland kupiony został za drogo itp. Dodał wreszcie, że gdyby był pozostał przy władzy, okiełznałby jeszcze mocniej socyalno-demokratów i zażądał od sejmu jeszcze większych środków na wojsko. Wynurzenia te bądź wzmościły w Niemczech wdzięczność dla cesarza, że usunął gnębiciela, bądź też oburzyły ich lekceważącą krytyką działań monarchy. Oprócz pełniacej obecnie służbę przy straconym gazecie hamburskiej i kilku łaszających się jeszcze do niego, cała prasa niemiecka potępia niesforność gadatliwości byłego kanclerza. *Kreuz-Zeitung* wprost pozywa go przed sąd opinii publicznej za obrazę majestatu, którego mieniał się obrońcą, a który dziś zuchwale znieważa, przypominając mu, że żaden dymisyonowany minister niemiecki, nawet wyzwany przez napastę, nie bronił się ani zdradzaniem tajemnic urzędowych, ani krytykowaniem działań rządu. Daremne przestrogi Bismark znajdujące się w stanie rozstroju umysłowego i szalu cierpiącej miłości własnej — a na takie choroby niema lekarstwa.

Inna również rozmowa narobiła wrzawy. Korespondent *Köln. Zing*, przyjęty przez króla Oskara, ogłosił, między innemi, przychylnie jego słowa o Bismarku, czem monarchę szwedzkiego mocno obraził ze względu na cesarza niemieckiego, który jest jego gościem. Nie było zresztą dotąd w zwyczaj, ażeby rozmowy z panującymi powtarzać publicznie. Niedyskretnego korespondenta skarcono, ale gazeta osiągnęła swój cel — narobiła hałas.

Szwedzi i norwegcy z zapalem przyjmują Wilhelma II pomimo swych demokratycznych a nawet republikanckich usposobień. Mają bowiem do tego dwa ważne powody. Naprzód monarchowie europejscy od setek lat nie odwiedzali dworu szwedzkiego, powtórnie cesarz niemiecki, który już po raz drugi przyjeżdża na półwysep Skandynawski a poprzednio objedzał go jako podróżnik, robi mu głośną reklamę turystyczną.

Wojna o trzode chlewną między Austrią a Serbią trwa dalej, ale zdaje się chylić ku końcowi. Jak zwykle, ulegnie strona słabsza. Ponieważ węgry twierdzą, że w Ser-

bii panuje ciągle zaraza na świnię i tem usprawiedliwiają zamknięcie swej dla nich granicy, więc serbowie żądali naprzód wysłania delegacyi na grunt dla sprawdzenia faktu a następnie — gdy im odmówiono — ustanowienia na komorach stałych komisji rewizyjnych. Austria jeszcze zwleka z ustępstwem, ale sama tracąc na zerwaniu stosunków, da się wreszcie przebłagać, gdy otrzyma „rękojmię“.

Najlepszą taką rękojmią był Milan, ale gdy — jak twierdzi rząd serbski — został „osobą prywatną“, niemile w kraju widzianą, dobry jest przynajmniej Garaszanin, ubezwładniony i nieczynny dotąd przywódca postępowców, który wystąpił znowu na widownię, zaczął organizować swoje szczupłe stronnictwo i gotuje się do walki.

Doniesiono, ale natychmiast zaprzeczono, jakoby na naradzie familijnej w Karlsbadzie głowa rodziny Koburgów, ks. Ernest, nakłaniał Ferdynanda do dobrowolnego opuszczenia Bułgaryi. Według ostatnich wiadomości młody Koburg powraca do Sofii.

Do prezydenta Carnota strzelił na ulicy ślepym nabojem — jak się okazało — wariyat.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

ROZKAZ NAJWYŻSZY.

Rada państwa, w połączonych departamentach ekonomii i praw, i na ogólnem zebraniu rozważywszy wniosek ministra oświecenia o zmianie wykazu liczby lekcyj tygodniowych w gimnazyach męzkich, uchwaliła:

I. Wykaz liczby lekcyj tygodniowych w gimnazyach męzkich złożyć do Najwyższego Jego Cesarskiej Mości rozpoznania.

II. W zamian odpowiednich rozporządzeń postanowić:

Na wakacje letnie w gimnazyach i szkołach realnych, miejskich i powiatowych przeznacza się dwa miesiące. Początek wakacyj oznacza minister oświecenia.

Najjasniejszy Pan wyluszczoną opinię Rady państwa 12 (24) czerwca 1890 roku

1)

KAROLKA.

W jednym z numerów *Kuryera* pod rubryką wypadków donoszono: „W dniu dzisiejszym zmarła, otruwszy się fosforem z zapalek, Karolina L., lat siedemnaście licząca, pełniąca obowiązki sklepowej w składzie towarów norymberskich przy ulicy Zimnej, pod nr. Chorą na parę godzin przed śmiercią odwieziono do szpitala. Przyczyną samobójstwa, jak upewniam, była zawiedziona miłość...“

Właścicielka sklepu przy ulicy Zimnej, pani Fuchsowa, w kilka tygodni potem opowiadała pani Z., którą los Karolki żywo zajmował, co następuje:

— Bardzo lubiłam to dziecko i wszyscy ją lubili. Pani sama i tyle innych osób pewnie dla niej tylko tu do mnie przychodziliście. Daleko lepiej zaczęło mi wieść się, odkąd ją wzięłam do siebie, a wszyscy mi mówili, że Antoniewiczowej, u której dawniej była, gorzej się wiodło po jej odejściu.

Pani ją znała i widziała, że była zawsze dobra, łagodna, spokojna, a z tem wszystkim bardzo szybka i dokładna w robocie. Zanim ja jednego gościa zdążyłam zaopatrzyć w żądane sprawunki, ona zaspokoila dziesięciu przez ten czas i nieraz jeszcze

namówiła ich na coś, czego nie mieli zupełnie zamiaru kupić.

W ostatnich czasach szczególnie usiłowała mi dogodzić i rwała się do roboty.

Do niczego nie pozwoliła mi się dotknąć. Sama przyjmowała od hurtowników nowe towary i układała je na półkach; sama rozmawiała z robotnikami, dostarczającami ręcznych prac; sama sprzedawała; sama sprzątała i urządziła wystawę sklepową, a wreszcie, ile razy tylko miała wolną chwilę — pomagała mi w wykonczeniu wszywek szydełkowych, których przy niej zbywałam bardzo dużo.

Nigdy tak nie odpoczywałam, jak przez te kilka miesięcy, kiedy ona była u mnie a nigdy przytem nie miałam tylu gości i takiej sprzedaży.

Nieraz — myślałam sobie, że jestem zupełnie niepotrzebna w sklepie i wychodziłam na miasto, do znajomych, którzy, widząc mnie, żegnali się znakiem krzyża świętego ze zdziwienia; dawniej bowiem — jak rok długi — nie odwiedzałam nikogo.

Kasę z początku obliczałam co wieczór. Później widząc, iż w niej było zawsze więcej, niż potrzebowałam na swoje wydatki, nie kontrolowałam już, tylko mówiłam do Karolki: „Co zbędzie na nowy rok, to rozdziel na połowę: część zatrzymam, a część — złożę do kasy oszczędności na posag dla ciebie...“

Ona mi odpowiadała: „Do nowego roku jeszcze daleko; wszystko może się zmienić; ja mogę nie być u pani...“

Zartowałam z niej, iż może się za męża wybiera.

Odpowiadała krótko: „nie“ i tak się zawsze zakreśliła koło jakiejś roboty, że nie mogłam już nie więcej z niej wydobyć.

Kiedys, wiedząc, że straciła rodziców w dziesiątym roku życia, zapytałam, czyby nie chciała zostać moją córką? Nie miałam ani bliższej, ani dalszej rodziny: byłabym ją adoptowała, aby jej przekazać sklep po mojej śmierci.

Rozplakała się. Pocałowałam ją w rękę — rzekła: „Nie, nie mogę nosić pani nazwiska...“

Zapytałam, dlaczego?

Wstrzymując łkanie, podnosząc jej pierś, wstrząsnęła głową kilka razy i powtórzyła: „Nie, nie, nigdy!...“

Dziwiło mnie to i zastanawiało bardzo.

Wogóle zauważyłam w Karolce skrytość, która zaczynała mnie niepokoić.

Była dla mnie dobra, troszczyła się o zdrowie moje i wygodę, jak nikt dotąd; czułam jednak, iż często musi mieć myśli, których nie chce wyznać przede mną.

Kiedy ją zobaczyłam pierwszy raz, gojąc za sklepową, spytałam, dlaczego odeszła od Antoniewiczów, u których była przez trzy lata?

Odpowiedziała mi: „O małą rzecz się rozeszło“ — i ani jednego słowa o tem później już z niej nie mogłam wyciągnąć.

Nastęczyła mi ją pewna pani, która ją znała z tamtego sklepu, a która raz, przechodząc, wyczytała napis w mojem oknie:

Najwyżej zatwierdzić raczył i wykonać polecił.

Wykaz tygodniowy liczby lekcji w gimnazjach wydziału ministerium oświecenia, Najwyżej zatwierdzony 12 (24) czerwca 1890 roku:

Religia: Klasa przygotowawcza 4 godziny, I kl. 2 g., II kl. 2 g., III kl. 2 g., IV kl. 2 g., V kl. 2 g., VI kl. 2., VII kl. 2., VIII kl. 2 g., razem 16 godzin.

Język ruski z językiem cerkiewno-słowiańskim, literatura i logika: klasa przygotowawcza 6 godzin, I kl. 5 g., II kl. 4 g., III kl. 4 g., IV kl. 3 g., V kl. 3 g., VI kl. 3 godz., VII kl. 3 g., VIII kl. 4 g., razem 29 godzin.

Język łaciński: I klasa 6 godzin, II kl. 6 g., III kl. 5 g., IV kl. 5 g., V kl. 5 g., VI kl. 5 g., VII kl. 5 g., VIII kl. 5 g., razem 42 godziny.

Język grecki: III klasa 4 g., IV kl. 5 g., V kl. 6 g., VI kl. 6 g., VII kl. 6 g., VIII kl. 6 g., razem 33 godziny.

Matematyka: Kl. przygotowawcza 6 g., I kl. 4 g., II kl. 4 g., III kl. 3 g., IV kl. 4 g., V kl. 4 g., VI kl. 4 g., VII kl. 3 g., VIII kl. 3 g., razem 29 godzin.

Fizyka: VI kl. 2 g., VII kl. 3 g., VIII kl. 2 g., razem 7 godzin.

Historia: III kl. 2 g., IV kl. 2 g., V kl. 3 g., VI kl. 2 g., VII kl. 2 g., VIII kl. 2 g., razem 13 godzin.

Geografia: I kl. 2 g., II kl. 2 g., III kl. 2 g., IV kl. 2 g., razem 8 godzin.

Język francuski: II kl. 3 g., III kl. 2 g., IV kl. 3 g., V kl. 3 g., VI kl. 2 g., VII kl. 3 g., VIII kl. 3 g., razem 19 godzin.

Język niemiecki: II kl. 3 g., III kl. 3 g., IV kl. 3 g., V kl. 3 g., VI kl. 3 g., VII kl. 2 g., VIII kl. 2 g., razem 19 godzin.

Kaligrafia i rysunki: Klasa przygotowawcza 6 g., I kl. 4 g., II kl. 4 g., III kl. 4 g., IV kl. 2 g., razem 10 godzin.

Ogółem wypada tygodniowo lekcji dla uczących się obu języków nowożytnych: w klasie przygotowawczej 22 godz., I kl. 23, II kl. 28, III kl. 29, IV kl. 29, V kl. 29, VI kl. 29, VII kl. 29, VIII kl. 29, razem 225 godzin.

Dla uczących się jednego języka nowożytnego: francuskiego: w klasie przygotowawczej 22 g., I kl. 23, II kl. 25, III kl. 26, IV kl. 26, V kl. 26, VII kl. 27, VIII kl. 27, razem 206 godzin.

niemieckiego: w klasie przygotowawczej 22 godzin, I kl. 23, II kl. 25, III kl. 27, IV kl. 26,

V kl. 26, VI kl. 27, VII kl. 26, VIII kl. 26, razem 206 godzin.

Uwaga. Lekcje języków nowożytnych tak są rozłożone, ażeby życzący tego sobie, za decyzją dyrektora, po porozumieniu się jego z radą pedagogiczną, mogli uczyć się obudwu; niewykazującym postępów w przedmiotach obowiązkowych pozwolenia na to udzielać nie można.

(D. n.).

LISTY WIEDŃSKIE.

12 lipca.

Ruch emancypacyjny wśród kobiet wiedeńskich. — Występy panny Pospizil w Burgtheatrze.

W życiu umysłowym i społecznym Wiednia największe zajęcie budzą zabiegi około uzyskania dla kobiet wstępu do wyższych instytucji naukowych. Jeszcze w maju b. r. najpoważniejsze stowarzyszenia kobiet utworzyły komitet, który ułożył petycję do Rady państwa. Domagano się w niej dopuszczenia pań na wykłady medycyny i filozofii. *Wiener Tagblatt* ogłosił tę petycję, podpisaną przez kilkanaście tysięcy kobiet. Dziennik ów, którego redaktorem jest sprytny Scheps, zajął się tą sprawą w sposób charakterystyczny dla prasy wiedeńskiej, tj. wyłącznie ze stanowiska rozgłosu. Niebawem dowcipniś pewien odezwał się w łamach tegoż *Tagblattu* z pytaniem, czy emancypacja niewieście nie zawiera niebezpieczeństwa dla poezji, która otacza dziś kobiety, i dla miłości, której u nich szukamy. Na odnośny fejleton autorka petycji, uproszona przez komitet złożonych stowarzyszeń niewieściech, odpowiedziała artykułem dłuższym p. t. „Czy emancypacja szkodzi miłości?“, który powszechną zwrócił na siebie uwagę. Zawiera on istotnie wywody dowcipne i trafne, z którymi zapoznać się warto.

Kobiety chcą się wyzwolić — mówi autorka — skąd mężczyźni czerpać będą poezję? Zarzut to na pozór pochlebny dla pierwszych. Lecz czy istotnie żądać można od kobiet, aby urządziły swe życie w sposób najbardziej odpowiadający wymaganiom liryków? Gdyby emancypacja usprawiedliwić się miała z tego jedynie zarzutu, że ta-

muję produkuje wierszy lirycznych,“ zaiste nie potrzebowałyby obrońcy. Lecz nie o to chodzi. Kobiety są traktowane dziś jak dzieci. Skoro się dobrze zachowują, tj. są posłuszne, bywają chwalone i zaszczytowane imionami pieszczotliwemi; kiedy słuchają nie chcą, czeka je gniew i szyderstwo. Mit o Parysie i jego jabłku zawiera tajemnicę ich wychowania. Chociażbyś była boginią olimpijską, od mężczyzny dopiero odbierzesz świadectwo swej wartości. Bądź noszoną mądrością, potęgą lub pięknoscią, musisz przyrzec Parysowi Helenę, aby znaleźć uznanie: „Die Gefällige ist die Gefällende,“ bądź usługującą, a podobać się będziesz. W ten sposób kobieta żyje i działa według życzenia i woli drugich, samolubna w swej bezinteresowności, nieczysta w niewinności, niezasługująca na szacunek najwyższy w swej pracy, nieszczerza we wzniosłych swych dążnościach — gdyż w tem wszystkim stara się o łaskę. Kobieta jest aktorką, występującą przed publicznością męską; w monologu, trwającym przez życie całe, gra ona „to, czego chcecie.“ Pomiędzy nią a rzeczą każdą stoi mężczyzna, którego uważać musi za źródło wszelakiego światła.

On ma ideały — ona bożyszcze tylko. Jakiejże do tego potrzeba cierpliwości, aby czekać tak długo, aż się znajdzie boga w postaci ludzkiej i jak gorzkich doznają kobiety rozczarowań! Niejedna już, upodobawszy sobie dolę mitycznej Europy, za późno się przekonała, że nie z Jowiszem miała do czynienia.

Jest miłość, która nie opiera się na miłosierdziu silnego dla słabego, lecz na świadomości swobody i równouprawnienia; miłość ta pragnie, aby kobieta była dzielną i mądrą. Lecz przeciętni przeciwnicy wyzwolenia twierdzą, że emancypantkami są te, których nikt nie wybrał, kobiety brzydkie, niekochane i mszczące się. Emancypacja — tak głosi opinia powszechna — to rzecz niezamężnych. Jest to emigracja w krainę niepospolitości i niesłuszności, spowodowana głodem. Nadliczbowe kobiety pracować muszą, aby się utrzymać: są to istoty zrozpaczone. Rzuciwszy miotłę i żelazko, w wybuchu wściekłości napadają na mężczyzn, wyrwują im pióro, lancet i pedzel, rozszalałe puszczają się w świat — i dokonywają czegoś. Rozżaleni mężczyźni wołają w niebogłosy: na pomoc, ustawodawco!

„Potrzebna panna do pomocy w sprzedaży...“ Ta pani także nie wiedziała, dlaczego Karolka odchodzi od Antoniewiczów. Jej także na zapytanie odpowiadała: „O małą rzecz się rozeszło...“

Dziwiło mnie to, że ona bardzo niewiele miała bielizny i nędznie się ubierała. Czyśto było koło niej zawsze, ale spódniczka i stanik — jedno i te same od święta i od dni powszednich — w kilku miejscach miały łaty i cery: musiała je nosić oddawna.

Pytałam sama siebie: „co ona robi z pieniędzmi?“

Gdy ją o to zagadnęłam — odrzekła: „rozchodzą się...“

Kiedys podpatrzyłam ją mimowoli.

Byłam za przepierzeniem, oddzielającym sklep od małego, ciemnego pokoiku, przeznaczonego na skład pak i wysortowanych towarów. Włożywszy kapelusz na głowę, szukałam rękawiczek, przygotowując się do wyjścia, gdy usłyszałam, iż ktoś otworzył drzwi sklepu. W chwilę potem doleciały uszu moich głośne pocałunki.

Zatrzymałam się i, wychyliwszy głowę za przepierzenie, spojrzałam na sklep.

Karolka nie spostrzegła mnie. Myślała zresztą, iż wyszłam już przed paroma minutami.

Całowała się z dziesięcioletnią może dziewczynką, bardzo do niej podobną, biednie, ale czysto ubraną. Poprawiła jej włosy, naprostowała fartuszek, trochę w bok przekrzywiony i, wyjąwszy z kieszeni portmo-

netkę, dała jej cały dziesięcio-rublowy papier, który z rana dostała ode mnie jako miesięczną pensję — mówiąc: „Zapłać z tego Maciejowej za swoje mieszkanie i życie; zostaną się jeszcze dwa ruble. Kup za jednego Władkowi bułek, serdelków i zanieście mu to we środę, jak tam pójdziesz z Józkiem. Drugiego rubla daj Józkowi: on też nie ma co jeść...“

Widząc, iż poruszyła się, aby, prawdopodobnie, zasunąć drzwi za mną na rygiel, wymknęłam się niepostrzeżenie.

Wieczorem zapytałam jej: „czy masz braci i siostry?“

— Mam jedną siostrę i dwóch braci — odpowiedziała mi.

— A cóż robią?

Rozplakała się, nie nie odrzekłszy.

W drugim miesiącu jej u mnie pobytu zauważyłam, że młody a ładny chłopak uwiija się często — zwłaszcza wieczorem — przed sklepem. Ona, zobaczywszy go, wychodziła zawsze na chwilę, porozmawiała z nim trochę; następnie żegnali się: on całował ją w rękę, ona wracała do roboty.

Powiedziała mi w kilka tygodni sama, niepytana, że to jej narzeczony, że kochają się od trzech lat, ale nie mają żadnej nadziei pobrania się, gdyż oboje są biedni.

Czułam, jak ciężko jej było mówić o sobie.

Któregoś dnia zrobiłam jej wymówkę, że jest mało szczerza względem mnie. Odpowiedziała mi na to:

— Od dziecka byłam sama. Przyzwyczaiłam się nie mówić. Nikt mnie nigdy o nic nie pytał; nikogo nie obchodziłam. Teraz, czasami, chciałabym coś powiedzieć i nie mogę: słowa więzną mi w gardle.

Pocałowała mnie w rękę i dodała, bąkając z trudnością:

— Ale ja nie jestem zła; proszę mi wierzyć.

Słyszałam tej noce, jak płakała długo i przewracała się, nie mogąc zasnąć.

Coraz bardziej zaciekała mnie ta dziewczyna: co jej mogło być? dlaczego tak często płakała?

Zapowiedziałam jej, żeby z narzeczonym nie wystawała nigdy na ulicy. W niedzielę kazałam mu przychodzić do siebie na górę: zostawiałam ich często samych, wychodząc do drugiego pokoju.

W dzień powszedni, czasami, wieczorem, gdy miał chwilę wolną, wpadał do sklepu i porozmawiawszy z nami trochę, uciekał napowrót do roboty.

Był subjektem w sklepie korzennym, na-przeciwko Antoniewiczów. Karolka zabiegała tam czasami, aby zmienić papierowe ruble na drobne: stąd się poznali.

Gdy zaczął przychodzić do mnie na górę, nierzaz słyszałam z drugiego pokoju, jak marzył głośno o tem, że kiedys on i Karolka muszą się dorobić pieniędzy, a wtedy założą sobie mały sklepik, pobiorą się i razem będą pracowali.

Ona nie wtórowała jego planom. Siedziała pochylona nad szydełkową robótką: war-

Szalone te amazonki odbierają nam chleb, czemuż wyżywić mamy żony nasze i dzieci? Logika emancypowanych odpowiada na to: „Skoro kobieta sama się utrzymuje, wówczas odbiera mężczyźnie sposobność do zarobkowania; skoro przez mężczyznę bywa utrzymywana, wówczas odbiera mu to, co zarobił.“ Okazuje się więc, że poezja, przyoblekająca dziś kobiety, w znacznej części jest poezją żbojecką.

Lecz emancypacja kobiet dąży nie tylko do materialnego uniezawiszenia kobiet pracujących. Chodzi także o oswobodzenie wewnętrzne; niechaj padnie powaga mężczyzny, a i panowanie jego runie. Kobieta powinna uświadomić sobie, że należy do samej siebie i że zbliżyć się może do przyrody bez pośrednika. Złe ocenia wpływ emancypacji na uczucia ten, kto ją pojmuje wyłącznie jako kwestję żołądka. Skoro zmniejszy się ilość owych małżeństw, które nakształt półkul magdeburskich, próżno wewnątrz, zewnętrznym naciskiem tylko są spojone, miłość żadnej szkody nie poniesie. Kobieta, która przestała szukać „obowiązków i pociechy“ w posłuszeństwie dla surowego małżonka, kobieta, posiadająca duszę wolną i myśli wielkie, nie wyrzeczy się bynajmniej ani szczęścia, ani nadziei, że spotka duszę równie nastrojoną: owszem, szuka duszy takiej i pracuje nad sobą, aby stać się jej godną. Mill, Feuchtersleben i Tocqueville — których autorka nazywa klasykami małżeństwa — w słowach i dziełach swych wzniesli pomnik dla związku z kobietą równą i wolną. Nie od wiecznie kobiecego typu odwołuje się emancypacja kobiet, jeno od typu doczesno-kobiecego. Celem jej — stworzyć świat nowy, lepszy, w którym poci nowego kierunku tyle znajdą źródeł zachwyty i natchnienia, ile dawni lirycy znajdowali w świecie dawnym. Kobieta, usamowolniona ekonomicznie, nie będzie czuła się poniżoną pod dachem męża; a nie powinna się ona obawiać, iż utraci wdzięk: niechaj pamięta o słowach Goethego: „Nur aus vollendeter Kraft blicket die Anmuth hervor.“ (Tylko ze skończonej siły przegląda wdzięk).

W mieście, w którym tak dzielna powstała orędowniczka emancypacji kobiet, na jednym tylko polu geniusz niewieści istotne święci tryumfy: na scenie. Ostatnimi czasy żywo zajmowały publiczność wiedeńską, a zwłaszcza koła słowiańskie, występy pan-

ny Pospiszil, czeski, w Burgtheatrze. Zna ona jest warszawianom. Wstąpiwszy w siedemnastym roku życia na narodową scenę czeską, niebawem, ulegając wpływowi dyrektora niemieckiego teatru praskiego, Neumanna, przeszła na niemiecką i zaangażowaną została przez pierwszą w Niemczech scenę, „Deutsches Theater“ w Berlinie. Powodzenie jej tam było tak wielkie, że nowy dyrektor Burgtheatru, Burckhardt, zwiedzając teatry niemieckie, zamówił ją do Wiednia, nie czekając rezultatu próbnych jej występów. Panna Pospiszil grała w Burgtheatrze cztery wielkie role, a dzięki licznemu udziałowi publiczności czeskiej, zbierała każdym razem oklaski frenetyczne. Co więcej, i krytyka odzywała się o niej wcale pochlebnie i krok dyrektora pochwałała: a jednak, sądząc bezstronnie, bynajmniej tak wielkich zalet w grze aktorki czeskiej upatrywać nie możemy. Być może, że przyzwyczajwszy się do publiczności wiedeńskiej, rozwinięła ona właściwą, wdzięczniejszą indywidualność artystyczną: na występach próbnych grała według znanych szablonów tutejszych, wskutek czego, rzecz jasna, z słynnymi twórczyniami tych szablonów współzawodniczyć nie mogła.

Stwosz.

BADANIA NAUKOWE.

KARTKA

Z DZIEJÓW FANATYZMU I BEZRZĄDU.

Fakt wypędzenia arian jest powszechnie znany. Uchwałę, która piętnem hańby szpeci kartę naszych dziejów, oparto na „edycie wileńskim“, lekceważąc zarówno przywileje podstawowe z epoki Władysława Jagieły, jak usankcjonowaną dla szlachty prawem kardynalnym, zasadę wolności wyznania. Gromada antytrynitarzów polskich, między którymi błyszczą mniej lub więcej słynne imiona Gosławskich, Lubienieckich, Morsztynów, Moskorzewskich, Niemiryczów, Przypkowskich, Szlichtingów, Sierakowskich, Wiszowatych — wydziedziczona, rozproszyła się po Holandyi, Niemczech,

Prusach, Szlązku, Węgrzech i Siedmiogrodzie. Odtąd „registr arianism“ grozi wszystkim „niedowiarkom.“ Gdy już tłum tyśiącogłowy, bez protestu sumienia narodowego, owszem — przy odgłosie fanatycznej lutni Wespazjana z Kochowa („Wender, wender, aryany, wnukowie Belzebuba...“), na sromotne wygnanie i nędzę skazano, cóż mogło być warte życie jednostki, obwinionej o „zbrodnię ateizmu“?..

Przeglądając dalsze roczniki wybujałej reakcji katolickiej, posępnie wejrzeniem witamy, zamgloną do połowy, postać Kazimierza Łyszczyńskiego. O atmosferze rodzinnej i stosunkach towarzyskich myślicieła, okrutnym a ślepym wyrokiem współziomków potępionego, prawie nie wiadomo. Drobnym ułamkiem podjętych przezeń a znacznych podobno prac pisarskich, dziełko piętnastoarkuszowe, stanowiące komentarz nad książką Altsteda, kalwinisty (*Theologia naturalis*) spłonęło bez śladu na stosie. Stracony d. 30 marca 1689 r., na rynku staromiejskim w Warszawie, nie przekazał nam wiernej podobizny ani swego umysłu, ani charakteru i serca. Sprawozdania rozliczne przeceją sobie nawzajem i cząstkowo tylko odtwarzają zgasłą dawno rzeczywistość. Kształcąc się u jezuitów, Łyszczyński niepospolite za młodu zdradzać miał zdolności. Wstąpiwszy do zakonu Lojoli, pełnił przez jakiś czas obowiązki nauczyciela w kolegium; ale zanim otrzymał ostatnie święcenia, zrzucił habit i ożenił się. Piastował on godność podsędka brzesko-litewskiego. Powoływany był nadto przez sąpółbywateli różnymi czasami na stanowisko deputata trybunału i sekretarza w sądzie asesorskim. Cieszył się tedy popularnością — miał przyjaciół i zwolenników. Nikczemny Jan Brzoska, stolnik bracki należał niegdyś do ich grona. Zaczepiony o zwrot długu, wystąpił w charakterze wroga-oskarżyciela, przed Brzostowskim, biskupem wileńskim, składając rękopis, jako dowód... zbrodni. Altsted, w swej *Teologii naturalnej* stara się przekonać swych czytelników o bytności Boga; Łyszczyński, uderzony słabą argumentacją, zbija dowód po dowodzie i dochodzi do wniosku: „Ergo non est Deus“ (A więc niema Boga). Gorliwy pasterz odwołał się niebawem do miejscowej akademii, z żądaniem oceny zakonunikowanego dzieła. Wszecznica jezuicka potępiła autora. Uwiadomiony o tem przez

gi jej trochę drżały; marszczyła brwi i ścigała powieki, jak gdyby chciała powstrzymać łzy, napływające do oczu.

Kilka razy doszło uszu moich nazwisko Majewskiego, pryneypała Stanisława, które, mówiąc ze sobą, wymieniali często.

Musieli się oboje zżymać na niego, gdyż Stanisław, rozprawiając o nim, giestykutował szybko, pełen oburzenia i najczęściej w końcu, zerwawszy się z krzesła, biegał hałaśliwie po pokoju. Karolka zaś dostawała silnych wypieków; oczy jej błyszczały; usta wykrzykiwał wstręt, którego nie umiała pokryć.

Gdy wchodziłam, milkli, albo też zaczęli rozmawiać o czym innym.

Kiedys, Stanisław, który był szerszy i wymowniejszy od Karolki, zwrócił się do niej i rzekł:

— Powiemy pani wszystkim..

Ona odparła szybko:

— To później, później.. Na co rozmawiać takie rzeczy?..

Wyszedszy w tej chwili po coś do siebie, usłyszałam, jak dodała:

— Może też już raz da mi święty spokój!

Do czego się te słowa odnosiły — nie wiedziałam.

Nieraz miałam chęć zapytać o to Stanisława i wogóle pomówić z nim trochę o Karolce podczas jej nieobecności; nigdy jednak nie złożyło się tak, aby on przyszedł do mnie wtedy, kiedy jej nie było.

W dzień powszedni siedziała ciągle w sklepie, wychodząc zaledwie raz na ty-

dzień do miasta po niektóre zakupy. W niedzielę z nabożeństwa wstępowała do siostry i wracała natychmiast do domu, poczem już nie rozłączałyśmy się.

Ponieważ kiedyś oznajmiłam jej, iż wiem, na jaki cel przeznacza miesięczną swoją pensję, przestała się ukrywać przede mną. Stefka przy mnie wchodziła do sklepu co pierwszego i brała od siostry dziesięć rubli.

Ostatniego miesiąca mała szepnęła jej do ucha tak jednak, iż ja to mimowolnie usłyszałam: „Władek już wyszedł i chce pieniędzy...“

Kazała jej przyjść nazajutrz i wsunęła jej coś w rękę.

Spostrzegłam tego dnia, iż nie miała w uszach małych, złotych koleczyków, jedynej pamiątki po matce, z którymi się nie rozłączała.

Odtąd Stefka coraz częściej wpadała do sklepu, szepcząc jej coś do ucha.

Ona ją wyprawiała — z czym? Nie wiem, bo nie mogłam zauważyć. Słyszałam tylko, jak Karolka powtarzała siostrze zawsze: „niech Władek tu nie przychodzi.“

Ostatniej niedzieli przed śmiercią jej — w chwili, kiedy po kościele poszła do Stefki, u której tym razem zabawiła dłużej, niż zwykle — zastukał do mego mieszkania niemłody już, lecz tegi i zdrowo wyglądający mężczyzna. Gdy otworzyłam mu drzwi, przedstawił mi się jako Majewski, właściciel sklepu korzennego z sąsiedniej ulicy i poprosił o chwilę rozmowy.

Wskazałam mu krzesło.

Usiadł, przybierając minę surowego sędziego.

Oczy miał małe, chytne, pełne kocich błysków, fałszu i przebiegłości.

Nie znosiłam jego wzroku; nie mogłam patrzeć wprost na niego, jak na innych ludzi, z którymi rozmawiałam. Wydał mi się od pierwszej chwili bardzo nieprzyjemny; pomimo to nie mogłam oprzeć się ciekawości wysłuchania go.

Chrząknął kilka razy, poprawił się na krześle i, zacierając czerwone, muskularne ręce, zapytał:

— Wszak obecnie u pani dobrodziejki sklepowa jest panna Karolina?

— Tak, panie — odparłam.

— Czy pani wie, dla jakich przyczyn opuściła dawne swoje miejsce, a raczej dla jakich przyczyn zmuszono ją do opuszczenia go?

— Nie, panie.

— Otóż właśnie przyszedłem, aby ostrzedz i objaśnić, jaką osobę pani dobrodziejka do domu swego przyjęła. My, kupcy, stanowimy jedno wielkie ciało, które powinno solidaryzować się wzajemnie...

Po tym wstępie przeszedł do opowiadania.

(D. c. n.).

Cecylia Walewska.

Brzostowskiego król, Jan III kazał hetmanowi wielkiemu litewskiemu, Kazimierzowi Pawłowi Sapież, stawić nieszczęśliwca, za pomocą siły zbrojnej, przed sąd biskupi. Uznano go winnym „obrazy majestatu bożego“ („crimen laesae majestatis divinae“); ale na szczęście znalazł się zacy obrońca — podkomorzy brzesko-litewski, który wniósł protestację do grodu, w imię zasadniczego przywileju: „neminem captivabimus...“ Trybunał ujął się za wolnomyślnym herbowcem: wyrok sądu biskupiego unieważniono, a sprawę odesłano do sejm. Następuje całoroczna niemal zwłoka. Wier grodzieński spełził na niczem, zerwany w marcu 1688 r., jeszcze przed elekcyą marszałka. Mniemany ateista, żyjąc podówczas na wolnej stopie, nie próbował nawet ratować się ucieczką; co dziwniejsza — w kwietniu tegoż roku odbył spowiedź i przyjął komunię. Nadeszła wreszcie fatalna chwila: w grudniu 1688 r. odwieziono go pod strażą do Warszawy, gdzie właśnie nowy sejm się zbierał. Tu fanatyzm, łącznie z zawiścią osobistą, odniósł huczny a krwawy tryumf nad prawem i rozumem. Daremnie Łyszczyński objaśniał, że rozpoczęta przez niego praca składać się miała z dwu części: z negatywnej, w której zbijał słabe, i z pozytywnej, gdzie zamierzał przedstawić gruntowne dowody istnienia Boga; napróżno go bronił, treściwemi a wymownemi słowy, nieznany z imienia i nazwiska adwokat. Prymas, Michał Radziejowski domagał się strasznej kary — skonu w płomieniach; pragnieniem wstrętnego auto-da-fé dyszał również fanatyczny głos Andrzeja Chryzostoma Załuskiego, biskupa kijowskiego. Szala zwycięstwa przechyliła się na stronę wrogów pseudo-ateusza tak dalece, że jeden tylko z pośród sędziów zażądał... odesłania sprawy do Rzymu. Rzecz dziwna i bolesna: bohater z pod Wiednia, światły mąż w koronie, przewodniczący sejmowi, bierną zachowywał postawę wobec dokonywanej na Łyszczyńskim zbrodni publicznej. Uprosił on ją tylko w ostatniej chwili, zgodnie z pokorną prośbą skazańca, zamieniając wzniesiony już przez kapłanów Chrystusowych stos — na miecz katedry. Majątek po straconym przeszedł w połowie na skarb, w połowie na rzecz nędznika Brzozki, z uwzględnieniem jednak praw żony, która (podobnie jak i córka zamężna) wcała się na widowni dziejowej nie ukazuje. Teorie filozoficzne Kazimierza Łyszczyńskiego, nader słabo w sprawozdaniach obcych odbite, uleciały ku niebu, wraz z dymem ogniowym, któremu towarzyszyła może jaka modlitwa o lepszą dla myślących dolę. Miał on być autorem nietylko owej nieszczęśliwej 15-arkuszowej pracy, ale nadto „całych woluminów“ (jak głosi biskup Załuski) w podobnym duchu skreslonych. Nie przyznawał się do ateizmu; pewną wszakże jest rzeczą, że poglądy jego zostawały w sprzeczności z katechizmem: „In omni genere entium datur eus perfectissimum. Exempli gratia: in genere astrorum datur ens perfectissimum, quod es sol; in genere animatum datur ens perfectissimum, quod est homo; in genere entium intellectualium datur ens perfectissimum, quod est Deus.“ Za dowód istnienia Boga służy mu tedy zamieniona w dogmat hipoteza: w każdym rodzaju istot znajduje się jakiś okaz najdoskonalszy. Czemuślońce między gwiazdami, a człowiek pośród mnogiego stworzeń organicznych tłumu, tem — Bóg w rzędzie bytów umysłowych. Czemuś więc on jest? — najwyższem pojęciem, najwznioślejszą ideą; ale w jakim stosunku zostaje do innych szeregów bytowych: czy je rodzi, czy też z nich wypływa, trudno odgadnąć. Niecny Brzozka w manifestie swoim tak oświeśla teorie metafizyczne Łyszczyńskiego: „O wściekła, zajadła i szalona zapamiętałości ludzka! Jeśli gdzie, tuś pokazała, że erudita mens amentiam gignit (uczony umysł rodzi szaleństwo), przez którą do czegoś przyszła, kiedyś Boga z nie-

ba i z całego okręgu ziemi i majestatu jego wypchnawszy, chimere jakąś, owo *ens* czyli *fatum* na niebie zasadziła, a *wszystko stworzonej naturze et perpetuae jej conservationi bezrozumnie przypisała!*“ Potępieniec z r. 1689 był bezwątpienia osobą, stojącą wysoko ponad poziomem współczesnej szlachty polskiej. Nie poprzestawał na karmi duchowej, dostarczanej przez wileńskich czy krakowskich luminarów, a pilnie chwycił, z dalekiego zachodu płynące odgłosy. Zarzuca mu bowiem Brzozka „czytywanie ksiąg od kościoła bożego zakazanych, przez różnych ateistów, ex typo infernali samego Lucypęra, wydanych gdzieś za morzem.“ Nie należał on do molów bibliotecznych, co „światło kryją pod korcem“; przeciwnie, starał się je słowem i piśmem krzewić pośród swego otoczenia. „Wpływ zgubny“ nieszczęśliwej ofiary fanatyzmu zaakcentowano ze szczególną dobitnością. Znał prawdopodobnie i Kartezjusza i Spinozę. Gdyby nie szerzyciele ciemnoty, z takimi, jak Brzozka, opryszkami sprzężeni, kto wie — możebyśmy się już przy schyłku wieku XVII myślicielem znakomitym poszczycić mogli, a siew, przez niego rzucony, nie upadłby na skalę... Losy wszakże inaczej zrzuciły. Kazimierz Łyszczyński pośród danych ram czasu i miejsca nie mógł mieć powodzenia, nazbyt bowiem śmieje w sferze praktycznej przeciwstawiał się jezuityzmowi, głosząc np. między innemi, że członkowie i sprzymierzeńcy zakonu dla własnego pożytku piekłem i czyszcem lud pospolity straszą. Charakter moralny nieszczęśliwego apostoła, podobnie jak i umysłową jego potęgę szara kryje zasłona. Podczas procesu chwileje się on nieco i łamie; ale któż odgadnie, jakie tam czynniki, oprócz wiadomych, w grę powikłaną wchodziły, jakie bicz smagały znękaną duszę skazańca...

(D. n.).

A. G. Bem.

TEORIA PRZESTĘPSTWA POLITYCZNEGO

(LOMBROSO I LASCHI).

II. Strona antropologiczna i psychologiczna.

Antropologia przestępstwa politycznego stanowi najcenniejszą część rozbieranego dzieła. Zawdzięczać to należy bardzo wielu przyczynom. Przedewszystkiem przedmiot sam nie przedstawia tak znacznych trudności, jak należyte zanalizowanie sprężyn ruchu politycznego, zwłaszcza gdy bierzemy się do rzeczy z takim uprzedzeniem przeciwno niektórym czynnikom (np. ekonomicznym), jak to czyni Lombroso, stawiający istnienie antagonizmów klasowych bodaj czy nie na jednym poziomie z wpływem pokładów geologicznych! Powtóre, badacze nasi mieli już na tem polu wielu poprzedników i bogaty do rozporządzenia materiał. Komuna np. doczekała się mnóstwa podobnych ocen. Można tu wskazać na dzieła, w rodzaju — Laborde'a: *Ludzie i czyny buntu paryskiego przed sądem psychologii chorobowej*, du Campa: *Konwulsje Paryża* i in. Autorowie *Przestępstwa politycznego* podzielały właściwie tym uczonym oburzenie względem komuny paryskiej i wszystkie ich dane bez zastrzeżenia przyjmują. Gdy mowa zresztą o antropologicznym charakterze jakiegoś poruszenia, należy pamiętać, że mimo pierwsiastków najrozmaitszej natury, w każdym niemal napotykanym wybuchu barwę istotną nadaje mu dopiero stosunek ich procentowy. Sam ten stosunek, dodajmy, wyglądać może tak lub inaczej, odpowiednio do charakteru burzy społecznej. Porównajmy np. dawny ruch polityczno-włoski, dążący do oswobodzenia i zjednoczenia kraju, z komuną pa-

ryską. Na 1,159 bojowników, walczących za swobodę Włoch, których statystykę zawodową Lombroso i Laschi zebrali, urzędnicy i wojskowi stanowią 40%, przedstawiciele profesyj wyzwolonych 22%, robotnicy 4%; tymczasem pomiędzy 81 przewodcami komuny mamy 43% robotników, 34% z pośród profesyj wyzwolonych, 34% urzędników i z pomiędzy warstw posiadających. Jak widzimy, społeczny charakter obu ruchów jest nader różny, że już nie mówimy o tem, iż pierwszy szedł drogą spiskową i jego przedstawiciele byli wybierani przez wrogów zwolna, wówczas gdy drugi był gwałtownym wybuchem rozpacz. I właściwości antropologiczne tych poruszeń są bardzo odmienne, jeśli można wierzyć przytaczanym świadectwom. Według tabliczki statystycznej naszych autorów, z pośród 521 mężczyznów sprawy włoskiej 87% posiadałoby rysy twarzy zupełnie normalne, 12% wykazywałoby różne anomalie i piętna zwyrodnienia i wreszcie tylko 0,57% nosiłoby znamię typu zbrodniczego. Tymczasem wśród 50 badanych fotografii komunistów (w jaki sposób zebranych?) 46% posiada twarz normalną, 23% anormalną, 12% zbrodniczą i 10% obłąkańczo-idyocką; pomiędzy 41 anarchistami, badanymi w prefekturze policji paryskiej, typy zbrodnicze stanowią już 31%, półzbrodnicze 19%. Przypuśćmy, że te dane są prawdziwe. Charakter antropologiczny zbrodnictwa politycznego zmieniałby się zatem w zależności od jego dążeń społecznych i sam ruch każdorazowo byłby szczególnym doбором wśród społeczeństwa. Otóż wszelka antropologia przestępstwa politycznego, jeśli ma dawać istotny a rzeczywisty obraz, winna oprzeć się na wskazanej podstawie statystycznej, uwzględniającej wszystkie wymienione warunki. A tymczasem nadaremnie poszukiwalibyśmy coś podobnego u naszych autorów, gdyż przytoczone powyżej tabliczki stanowią niemal wszystko, co uczynili w tej mierze, i samą analizę antropologiczną w danej kwestyi sprowadzili do wykazywania, że spotyka się typy najrozmaitsze u przestępców politycznych: urodzonego zbrodniarza, obłąkańca, mattoida i in. Poszukiwania otrzymały wskutek tego zamiast czysto-naukowego charakteru nieco anegdotalny, z wyjątkiem rozbioru zbrodni politycznej pod względem udziału w niej osób różnego wieku i płci. W pierwszym zwłaszcza przypadku autorzy *Przestępstwa politycznego* usiłują dać czytelnikowi możliwie ścisły i dokładny obraz statystyczny. Z przytoczonych faktów widać, że wiek młodzieńczy jest okresem życia, dostarczającym najwięcej procentowo przestępców politycznych. Wiele przyczyn składa się na to. Pobudliwość i wrażliwość, względnie mała samodzielność, znaczny zaś popęd naśladowczy, nieopatrzność, wreszcie nieczem niepowstrzymane popędy altruistyczne, wszystko to osłabia wrodzony człowiekowi mizoneizm i z wieku młodzieńczego czyni główne przedmurze zgiełku społecznego. Młodzież to stanowi kadry bojowe zbrodni politycznej. Wśród 152 irrydentystów włoskich, których biografie znajdujemy u d'Ayala, 32% było w wieku lat 15—30, 31% — 30—40, i zaledwie reszta przekroczyła tę ostatnią granicę; wśród 183, którzy padli w boju i których wiek tenże autor podaje, 32% było w latach 15—20, 39% zaś — 20—30. Młodzież zwykle jest tylko armią bojową, kto inny zaś obejmuje kierownictwo; lecz i sami przewodcy względnie są jeszcze młodzi. Ten stosunek wieku szeregowców i wodzów przewybornie można badać u komunistów. Między 76 członkami komuny (władzy), których wiek znamy, 26% znajdowało się dopiero w latach 20—30, 31% zaś liczyło 30—40. Tymczasem wśród 651 szeregowców wybuchu, wziętych z bronią w rękę na ulicach Paryża, 36% znajdowało się w wieku lat 16, 34% zaś — 14! Podobnie młodym jest wiek tegoczesnych anarchistów. Wśród obwinionych w procesie Montceau-les-Mines 24%

liczyło lat 17 — 20, 27% — 20,25 i tylko 6% miało więcej nad 30; w procesie medyolańskim 34% było w wieku lat 20 lub niżej. Natomiast kobieta przyjmuje udział względnie nieznaczny. Nasi autorzy rozwijają z tego powodu swoją teorię mizoneizmu w zastosowaniu do płci żeńskiej. Uślużają dowieść, że jest ona wogóle nieobecna we wszelkich ruchach istotnie postępowych, a odznaczając się większym wstrętem ku nowości, niż mężczyzna, uparcie trzyma się dawnych zwyczajów. Występując jako uczestniczka zbrodni politycznej, kobieta odgrywa rolę podrzędną i jest raczej jedynie narzędziem w ręku mężczyzny. I nie idea, lecz uczucie popycha je po tej drodze. Przestępczyni polityczna jest zwykle kochanką i z tego powodu bywa najczęściej zawieruszona w sprawę polityczną. Lecz wogóle występuje rzadko; w ruchu np. włoskim wynosi ledwie 1,55%. Częściej ukazują się jedynie w rewolucji chrześcijańskiej, jako męczenniczka, gdzie przyjmuje udział w olbrzymim stosunku 40%. Uczucie ją rzuciło do ruchu, podobnie jak w r. 1789, gdzie jednakże główną odgrywała rolę podczas ulicznych rokoszów i buntów. Zresztą udział kobiet jest niewielki, o ile chodzi tylko o rewolucję postępową; w zwykłych zaburzeniach, gdzie mizoneizm niewieści nie jest drażniony obecnością jakiegokolwiek idei, występują one bardzo obficie i często stanowią główną siłę ruchu, nadając mu charakter szczególnej zwierzęcości i rozpasania.

Widzieliśmy, że wśród ruchu włoskiego za niepodległość 12% wykazywało oznaki zwyrodnienia, 0,57% przedstawiało typ zbrodniczy; wśród anarchistów zaś „urodzeni“ zbrodniarze i półzbrodniarze stanowią niby do 50%. Otóż *Przestępstwo polityczne* zajmuje się głównie, jeśli nie wyłącznie, takimi nienormalnymi postaciami. „Przypadkowym“ przestępcą politycznym, tj. tym „normalnym“ ludziom, którzy nigdy nie stargaliby się bez szczególnych powodów i nie wystąpiliby przeciw władzy, autorzy poświęcają zaledwie kilka stronice, jako odgrywającym mało znaczącą rolę szeregowców i zajmującą się tylko wodzami, względem których podzielają zdanie Dantona, że ostatecznie władza w rewolucji przechodzi do rąk największych zbrodniarzy. Jedynie wyjątkowe osobistości w społeczeństwie mogą wyzwolić się z pod wpływów mizoneizmu: zbrodniarze urodzeni, różni obłąkańcy i maniacy, histero-epileptycy w swoich odmianach — od genialnej i altruistycznej do popędliwej namiętnej — mattoidzi. Oni też stanowią czoło zastępów przestępczo-politycznych. Znaczenie tych rozmaitych typów antimizoneistycznych w zbrodni politycznej jest nader odmienne. Są ruchy, w których ukazują się jedynie niektórzy z pośród nich; są inne, gdzie współdziałają różne, lecz zawsze określonej natury postacie. Geniusze — te zdaniem Lombrosa szczególne postacie epileptokształtne, występują głównie w drganiach postępowo-rewolucyjnych. Natura ich, której godłem są słowa Garibaldiego: *amo l'ignoto*, zawsze wyrывa się z więzów teraźniejszości i łaknie wzorów nieznanych. Nawet u geniuszów mizoneizmu, jak Bismark, Metternich, Ignacy Łojola, zamiłowanie starocześnieści płacze się z pożądaniem nowego w dziwny sposób. Nieobecność geniuszu w rokoszach jest stanowcza i mattoidzi zajmują ich miejsce. Ten ostatni typ posiada zwykle rysy prawidłowe, wyróżnia się od zbrodniarza urodzonego mniejszym niedorozwojem zmysłu moralnego, od obłąkańców — brakiem nadmiernej pobudliwości lub dziedzictwa chorobliwego. Znaczny altruizm i popęd nowatorski; niezmierna wstrzemięźliwość w picu i jedzeniu; obfitość prao i druków, w których powtarzają stereotypowo to samo zdanie, wypowiadając je za pomocą dziwacznych słów, uganiając się za szczególnymi wyrażeniami i porównaniami nie na podstawie znaczenia, lecz brzmienia wyrazów i wprowadzając cudaćki pomysły i ty-

tuly. Czasami mają genialne idee, lecz przybierają je w strój błazeński. Ofiarność i ruchliwość czynią z nich przywódców niezadowolonych, lecz niech tylko uśmiechnie się powodzenie, w tej chwili błazen lub obłąkaniec wychodzi z pod dotychczasowego opozycjonisty. Większość ruchów religijno-politycznych jest dziełem tego rodzaju ludzi; wodzowie anabaptystów, Lazaretti, praojciec mormonizmu, wszystko to są mattoidzi. Cola da Rienzi przedstawia wybitny przykład ludzi tego typu; w głowie jego zrodziła się po raz pierwszy genialna myśl zjednoczenia Włoch; lecz kiedy dzięki rokoszowi ludowemu doszedł do władzy, oddał się całemu pomysłom pajackim: przywdziewał szczególne stroje, przybierał dziwne brzmienie tytułów, nie czyniąc po za tem. Szczególnie liczni są dzisiaj mattoidzi-prześadowcy. Jest to osobnik zwykle cierpiący na serce i wątrobę, z wyczułą, wrażliwością i pobudliwością, obojętny na cierpienia innych, póki jego własne „ja“ nie zostanie zadrażnione — wtedy zaczyna bronić „uciemnionych.“ Każdy, kto nie wysłucha jego głosu i kogo on nie zdola przekonać, staje się rzekomym przesładowcą; mattoida niby broni się przeciw niemu, a wcięż go napastuje. Liczne zamachy polityczne przeciw osobom wychodzą właśnie od tych półobłąkanych przesładowców. Guiteau lub Passanante mogą służyć jako wzory przewybornie; bliższych sylwetek ich nie kreślimy, gdyż czytelnik je znajdzie w przełożonym na język polski *Geniuszu i obłąkaniu*. Niemniej często wśród przestępców politycznych można napotkać różnego rodzaju epileptyków. Mamy tutaj najodmienniejsze postacie, od altruizmu histero-epileptycznego, tak świetnie przedstawionego u Dostojewskiego w jego *Idyocie*, aż do epileptyka z popędami ludożerczymi. Rzecz godna np. uwagi, że wszyscy najkrwawszy i najokrutniejsi dyktatorzy rzeczypospolitej Argentynskiej byli epileptykami i alkoholikami. Weźmy chociażby Rosasa. Obłąkaniec zmysłu moralnego, dziecko histeryczki, posiadał wszystkie znamiona zbrodniarza urodzonego i już w najmłodszych latach zaprawiał się na zwierzętach do późniejszego zdzierania skóry żywcem ze swych wrogów politycznych. Do podobnych natur należy zaliczyć wielu condottierów średniowiecznych aż do ostatniego ich ogniwa, Napoleona I. Obok epileptokształtnych natur wypadłoby pomieścić przestępców politycznych z namiętności. Nadmierna pobudliwość wraz z wysokim stopniem umysłowości już od lat wczesnych rzuciła ich na drogę gwałtownego protestu. Entuzyści, nie chcą zrozumieć, iż postęp kroczy jedynie z zółwą powolnością. Są to najczystsze i najsympatyczniejsze postacie z pośród zastępu przestępców politycznych. Karolina Corday, Karol Sand należą tutaj. Entuzjazm przybiera często formy nieco chorobliwe, jak u Orsiniego. „Orsini z zasady mówił rzadko i ostrożnie, lecz ożywiając się, wyrzucał potoki słów z niezmierną łatwością i w silnym podnieceniu. Całe życie swoje oddał na usługi ojczyzny, lecz trwał w niej w sposób mało pożyteczny. Myśl u niego szła zawsze dopiero po czynie. Łaknął działalności za wszelką cenę i mimo największego niebezpieczeństwa; rzucił się też w najszałeńsze grupy mazzinistów. Jego nieopatrzna pobudliwość w końcu potępiała nawet ci, którzy go wciągali do czynu; doszło do tego, że mazziniści, kiedy mówili o niedorzeczności i bezmyślnym miotaniu się, używali przysłowia: istny Orsinizm!“ Wśród tego odłamu można zauważyć czasami silny popęd samobójczy i sama zbrodnia zjawia się w zastępstwie samobójstwa. Wreszcie idą rozmaici obłąkańcy, od typów mattoidzkiego do zbrodniczego. Zupełnie lub częściowo stargana równowaga umysłowa aż do braku wielkiego hamulca, wygórowane pojęcie o znaczeniu własnej osoby, myśl bezustanna o zamachach przesładowczych ze strony czyjejs, w gruncie rzeczy

jedynie wymyślonych, silna wymowa z nieobecnością powściągnięć mizoneistycznych, wszystko to sprzyja silnemu ich uczestnictwu w zbrodni politycznej. Zajmują oni często okazałe miejsce w historii, jak np. Savanarola. W *Przestępstwie politycznym* skreślono panowanie obłąkańca Masaniello nad Neapolem, który jako istotny szaleniec przebiegał opanowane miasto z obnażoną szpadą, raniąc przechodniów, to skazywał na śmierć bez powodu, to wydawał rozporządzenia najdziwaczniejsze. Zresztą różne rodzaje obłąkania odgrywają odmienną rolę. Marat służyć może za przykład szалу zabójczo-prześadowczego i zarazem stanowi przejście do zbrodniarza kryminalnego, takiego, jak Hebert. Zbrodniarz urodzony już w postaci odpowiednich rysów charakteru, to znowu z uprzedniem wykazaniem swych popędów, uczestniczy stale w przestępstwie politycznym; w zamachu Orsiniego zamieszano np. trzy osoby, sądzone za kradzież. Badacze włoscy ze szczególną przyjemnością uposażają w podobnego rodzaju działaczy ruchy anarchistyczne i wogóle antimieszczańskie, zawierając w tym razie niekiedy bardzo niepewnym opowieściom i świadectwom. Czyżby zapewnienie, że Most, znany anarchista niemiecko-amerykański posiada wydatne szczęki i szczególne spojrzenie, wystarcza im do uważania go za typ kryminalistyczny! Zresztą nie myślimy zaprzeczać znacznej obfitości wśród anarchistów postaci kryminalistycznych, jako też wogóle nienormalnych. Ruch ten, odrzucając wszelką organizację i karność partyjną, a raczej rozbijając partię na mnóstwo samopas chodzących jednostek, widząc w ustroju społecznym jedynie spisek warstw uprzywilejowanych, który można rozbić jednym gwałtownym uderzeniem, jest jakby przytulkiem najrozmaitszych newropatów. Gwałtowne temperamenty, niezadowolone z dnia dzisiejszego, a czujące odrazę ku ewolucyjnej nieco a mocno karnej taktyce społeczno-demokratów, natury wrażliwe, które nie mogą znieść swej względnej niemocy społecznej, nieuki, niepojmujący istoty społeczeństwa, słowem wszelka histerya czynu wsiąka tutaj. Krytyka dzisiejszego porządku przenika w te odłamy wydziedziczonych, które noszą w języku niemieckim specyjalną nazwę: *Lumpenproletariat*, a są złożone z kryminalistów, prostytutek z ich mężką drużyną, włóczęgów i przyjmuje tutaj naturalnie odpowiednią formę. Grupy te, odrzucone przez organizacje robotnicze, zwracając się ku anarchizmowi. Histerya poświęcenia z wrodzoną zbrodnicością płacze się też w anarchizmie na każdym kroku, wchłaniając w dodatku w siebie jeszcze różne manie nieuctwa. Oto jeden z takich typów. Epileptyk, pochodzący z rodziny maniaków, od młodych lat oddający się samogwałtowi, opój, nie czyta żadnych gazet, bo mu to sprawia zawrót głowy; jego ideał społeczny zawiera się w żądaniu, aby nie wolno było posiadać pieniędzy, ani też wiele pracować lub wymieniać produktów; aby nie było żadnego przyrodziwku z wyjątkiem pokrycia części wstydlivych, żadnych praw, a natomiast istniała zupełna wolność rozpasanego obcowania i szkoły były zniszczone.

Staraliśmy się oddać wywody *Przestępstwa politycznego* w możliwie przedmiotowy sposób. Od siebie dodamy, jakieśmy już zauważyli, że dane tej pracy noszą na sobie charakter nieco anegdotyczny; tak, iż praca ta raczej czyni wrażenie podniety do poszukiwań w tym kierunku, aniżeli czegoś wykończonego.

Lud. Krz.

FILOZOFIA NIEŚWIADOMOŚCI A DARWINIZM.

Filozofia nieświadomości ma do dziś pewnego gorącego zwolennika, który nie tylko sam w nią wierzy, lecz usilnie na drodze publicystycznej stara się o pozyskanie nowych dla niej wyznawców, który broni jej wobec ataków, a corocznie w kilku pismach zali się, że za mało bywa ona uwzględniana; wytrwałym apostołem tej teorii, która pękła jak tyle innych filozoficznych baniek mydlanych, jest Edward Hartman, jej twórca. Jak mało go krytyka przekonała i ile żywotności dotąd upatrjuje on jeszcze w swym systemie, świadczy okoliczność, iż świeżo ogłasza Hartman uzupełnienie głównego swego dzieła, wyświecając stosunek filozofii nieświadomości do darwinizmu. Tom ten składa się z trzech części, z których pierwsza przedstawia pierwiastek nieświadomości ze stanowiska fizjologii i teorii pochodzenia, druga pod tytułem „Prawda i fałsz w darwinizmie,” kusi się o krytyczne przedstawienie teorii rozwoju, trzecia wreszcie bada, o ile krytyka darwinizmu dotyka podstaw przyrodniczych filozofii nieświadomości.

W trzecim tym tomie swego systemu pragnął Hartmann oświetlić wszechstronnie i rozwiązać spór pomiędzy poglądem mechanistycznym a teleologicznym, pomiędzy materyalizmem a spirytualizmem, pomiędzy hylozoizmem a filozofią nieświadomości. Spór ten ściśle odróżnia Hartmann od walki dawniejszego materyalizmu ze spirytualizmem świadomego, absolutnego ducha, czyli z teizmem spekulatywnym. Walka ta, według niego, ukończona została w połowie bieżącego stulecia, a obecnie na jej miejsce wstąpiła inna — hylozoizmu z panpneumatyzmem*) pierwiastku nieświadomości. Ani „materya nieświadoma,” ani „świadomy duch” objaśnić nie zdołały całości zjawisk przyrodniczych; zarzucono więc skrajne te pojęcia, zastępując je pośredniczącymi zasadami „świadomej materii” i „nieświadomego ducha.” Wiadomo, że pogląd mechanistyczny wykluczał całkowicie teleologię; teleologia zawiera w sobie mechanizm, jako niezbędny pod względem logicznym, pierwiastek swego systemu. Dawniejszy materyalizm był ściśle antyspirytualistyczny; odrzucał bowiem wszelkie współdziałanie potęg duchowych; nowszy — ochrzczony przez Hartmanna mianem naturalizmu, przyznaje, że zdolność czucia, która w protoplazmie i w szarej substancji komórek nerwowych występuje silniej, istnieje już musi poniekąd w cząstkach materii i w ten sposób przemienia się w hylozoizm. Hylozoizm zajmuje wobec „filozofii nieświadomości” stanowisko podobne temu, w jakim poprzednio zostawał materyalizm do absolutnego, świadomego ducha: wyklucza on „filozofię nieświadomości”; ta zaś zawiera go w swym systemie. Hylozoizm nie umie objaśnić jedności, odpowiedności i rozwojowego kierunku procesu kosmicznego; duch nieświadomy zaś, występujący zarówno w funkcyjach siły nieświadomej, jak w niezliczonych indywidualnych powikłaniach uczuciowych, tłumaczy, zdaniem Hartmanna, zarówno przedmiotowo-realne zjawiska materii, jak podmiotowo-idealne przejawy uczucia i świadomości.

Według tych ogólnych punktów widzenia przeprowadza Hartmann walkę mechanistycznego hylozoizmu z teleologicznym panpneumatyzmem nieświadomości na polu filozofii natury, traktując szczegółowo o wszystkich kwestiach zasadniczych i drugorzędnych, znanych dziś w świecie naukowym pod wspólnym mianem darwinizmu. Hartmann jest zwolennikiem teorii descendencji, którą wiela do swego systemu ja-

ko pierwiastek zasadniczy. Chów jednak naturalny i dobór płciowy uważa za teorye o względem tylko znaczeniu, których doniosłość przez samego Darwina, a bardziej jeszcze przez jego zwolenników nazbyt przeceniona została. Krytyka darwinizmu, o ile jest teorią ściśle przyrodniczą, dokonana przez naszego metafizyka, dla człowieka pod względem naukowym nieuprzedzonego, żadnej nie może mieć wagi. Zajmujące wszakże są spostrzeżenia autora nad darwinizmem, jako nad systemem filozoficznym. Mylnie, zdaniem Hartmanna, uważamy go za całokształt. Samą teorię descendencji (pochodzenia) pogodzić można zarówno z poglądem mechanistycznym, jak z panteizmem lub teizmem; główne zaś napady antidarwinistów zwracają się przeciw teorii selekcji (doboru naturalnego), o ile występuje ona jako bezwzględna zasada, objaśniająca mechaniczne powstanie życia organicznego. Gorętsi natomiast zwolennicy darwinizmu nie tylko dwu tych teorii rozdzielić nie chcą, ale są przekonani, że objaśniają one w sposób stanowczy cały ogół zjawisk wszechbytu, nie wyłączając nawet tych, które według Hartmanna nigdy przez naukę indukcyjną wyświetlone być nie mogą. Najwyższe zagadnienia, o które darwinizm zahacza, są natury czysto myślicielskiej i dlatego filozofia, zdaniem Hartmanna, koniecznie się niemi zajmować powinna. Dawny spór systemów sprzecznych ześrodkowywa się dziś poniekąd w zagadnieniu o początku i rozwoju życia organicznego. Decyzya, jaką w tym względzie filozofia natury świata głosi, wielką będzie miała, według Hartmanna, doniosłość praktyczną dla rozwoju kulturowego przyszłych pokoleń; od niej bowiem zależeć będzie zwycięstwo poglądu materyalistycznego lub idealistycznego, a tem samem duch i kierunek cywilizacyjny najbliższych stuleci.

S.

PRĄD SPEKULACYJNY W GEOGRAFII.

(Dokończenie).

Możnaby tu zarzucić — ciągnie dalej Supan — że geografia specjalna nie porzeka na opis, lecz usiłuje także objaśnić zjawiska, czyli, wyrażając się terminologią naukową, wznosi się od chorografii do chorologii. Teoretycznie jest to zupełnie słuszne, tak być powinno, ale praktycznie rzecz ma się inaczej: można śmiało powiedzieć, że *chorografia zdławiała chorologię*.

Zadanie chorologii określamy, jako wykład wzajemnych związków między lądem i wodą, klimatem i życiem roślinnym, zwierzęcym oraz ludzkim. Mamy tu do czynienia z sześciu elementami, które jednak nie posiadają jednakowej wartości. Gdzie mianowicie występuje w nauce człowiek jako przedmiot badania, tam zajmuje on stanowisko przeważające, gdyż naukę uprawia nie kto inny tylko właśnie sam człowiek. To ujawnia się też i w geografii specjalnej (ważne znaczenie człowieka w tej nauce wynika nie tylko z wyżej przytoczonej uwagi Supana, ale i stąd, że człowiek działalnością swoją wywiera na ziemię większy wpływ, niż inne twory organiczne); materiały tej nauki rozłożony jest zwykle według szematu: kraj, ludzie, kraj i ludzie. Pierwsza część jest chorograficzną i chorologiczną, druga chorograficzno-historyczną, trzecia chorologiczną. W tym podziale niema wewnętrznego jednolitości, coż bowiem bardziej sprzeciwia się wymaganiom ściślej jednolitości, nad to, gdy wielu autorów łączy się dla opracowania geografii pewnego kraju? A jednak powyższy szemat nie sprzeciwia się takiemu podziałowi pracy, owszem zmusza doń niejako. Nie można zaprzeczyć, że taki podział, przy którym każdy opraco-

wywa swą specjalną gałąź, jest bardzo korzystny dla dzieł *opisowych*, albowiem przy *opisie* chodzi przede wszystkim o ścisłość i znawstwo szczegółów, ale wszelki *związek wewnętrzny* jest wtedy stracony i element chorologiczny rozpada się na tysiące drobniaków. Dla takich encyklopedycznych dzieł doskonale służy nazwa „krajoznawstwa,” to też Lupan słusznie żąda, aby nadal rozróżniano dwa zwykłe dotąd utożsamiane pojęcia: „krajoznawstwa” i „geografii specjalnej,” albowiem w rzeczywistości na krajoznawstwo składa się nie tylko geografia, lecz i liczne inne gałęzie wiedzy ludzkiej. *Krajoznawstwo nie jest nauką, lecz sumą naukowych badań danego kraju* i dlatego dobre krajoznawstwo nie może powstać inaczej, jak przez łączną pracę wielu uczonych.

Żaden geograf, stojący na gruncie dzisiejszych pojęć, nie zaprzeczy, że *ostatcznym celem chorografii jest chorologia*; to jednak nie warunkuje jeszcze ich połączenia w literaturze. Jeżeli takie połączenie okaże się szkodliwym, to nic nam nie przeszkadza do jego rozwiązania. Otrzymamy tym sposobem naukę, w której, podobnie jak w geografii ogólnej, działalność uczona polega nie tylko na obserwacji, ale także i na *pracy czysto umysłowej*, a więc usuniemy jeden z głównych powodów uposzczenia geografii specjalnej.

Ale idźmy okrokiem dalej. Jeżeli byśmy z geografii specjalnej usunęli wszelki element chorologiczny, to rozpadłaby się ona zaraz na dwie oddzielne grupy: fizyczno-geograficzną i antropo-geograficzną. Słowem, staniemy znowu przed dualizmem, któryśmy znaleźli w geografii ogólnej i o którym powiedzieliśmy, że on w specjalnej może być usunięty. Tutaj nie widzę — mówi Supan — innego środka, jak powrócić do zasadniczej myśli Karola Rittera i znowu człowieka umieścić w środkowym punkcie obrazu. Możemy przymtem porzucić wszelką dążność teleologiczną (celową) i posługiwać się metodą czysto indukcyjną. Tym sposobem jednolitość wewnątrz została by przywrócona, jakkolwiek kosztem zakresu zagadnień chorologicznych, co zaraz okażemy.

Stosunki człowieka do przyrody są dwójakiego rodzaju: z jednej strony odnoszą się one do jednostki tak duchowo, jak i cieleśnie i tym sposobem tworzą pewien typ narodowy; z drugiej strony odnoszą się do ludzi w ich życiu *społecznym*. Wszystkie zagadnienia, należące do stosunków pierwszego rodzaju, mogą być z powodzeniem rozwiązane tylko przez ogólną antropogeografię na podstawie obserwacji, które obejmują całą ziemię. Często słyszymy np. twierdzenie, że mieszkańcy Alp są konserwatywni, albowiem przyroda zmusza ich do wciąż jednakowych zajęć, a komunikacje odbywają się tam po wciąż jednakowych drogach; albo, że są oni pobożni, albowiem groza w górach stawia zawsze przed ich oczyma jakąś wyższą potęgę i zmusza ich do szukania we wszystkim pomocy boskiej. Czy twierdzenie to odkrywa nam rzeczywistość pewne prawo wewnętrznego związku między zewnętrzną przyrodą Alp i ich mieszkańcami? Być może, ale geografia *specjalna* nie daje nam probierza do rozpoznania tego. Wyłączmy więc kwestyę tego rodzaju z geografii specjalnej (lecz nie z ogólnej) i ograniczmy się na takich związkach, które w obrębie pewnego kraju dadzą się z całą pewnością wykazać. Są to przede wszystkim przyrodzone warunki produkcji, komunikacji, osiedlenia a po części i rozwoju politycznego.

Z obowiązku sprawozdawcy pozwolimy tu sobie znów zauważyć, że Supan tym sposobem wyklucza niesłusznie stosowanie praw geografii ogólnej do poszczególnych objawów geografii specjalnej, która zupełnie inaczej przedstawia nam się na tle pierwszych, aniżeli w oderwaniu od nich. Tu jest właśnie wzajemna usługa obu gałęzi geografii, podo-

*) Co za straszne nazwy. Red.

bnie jak to spotykamy w wielu innych naukach: za pomocą poszczególnych faktów i praw cząstkowych (geografia specjalna) dochodzimy do teorii, do praw ogólnych (geografia ogólna), a za pomocą teorii odwrotnie: objaśniamy nowe napotykane fakty szczegółowe (i ich związki) nawet przewidujemy je. Jeżeli np. prawem geografii ogólnej jest, że mieszkańcy gór są konserwatywni i religijni, to objawy te napotkane w szczególności u mieszkańców Alp będą dla nas zupełnie zrozumiałe; udając się do mieszkańców nieznanych nam gór, będziemy się spodziewali znaleźć u nich te objawy, jeżeli zaś ich nie znajdziemy, to zrozumiemy dobrze, iż mamy tu przed sobą anomalie, której przyczynę miejscową zbadać powinna właśnie geografia specjalna. Tym sposobem *rozumowe* traktowanie geografii specjalnej ma daleko *obszerniejsze granice*, niż te, jakie jej zakresła Supan, a jakie służą prawie wyłącznie tylko części geografii specjalnej, mianowicie — ekonomicznej.

Dalej zwraca Supan uwagę na rzeczywiście ważną kwestję geografii specjalnej: pewna kraina geograficzna, mówi on, wywiera pewien wpływ na stosunki społeczne swych mieszkańców nie tylko przez swe *własne* przyrodzone warunki, ale i przez to, że wchodzi w styczność z *sąsiednią* geograficzną krainą, posiadającą inny charakter. *Sila sąsiednich geograficznych kontrastów, dążących do wyrównania*, jest jedną z najważniejszych sił, kształtujących życie narodu, ale objawia się ona różnie w różnych czasach i często kulturalny środek ciężkości przesuwają się z jednej geograficznej krainy do drugiej. Tak np. kraje alpejskie tworzą w obrębie monarchii austriackiej ostro zarysowaną, naturalną prowincję. Główny kontrast występuje tutaj między górami oraz na północ i wschód od nich ciągnącymi się równinami i krajami pagórkowatymi. Dalsze poszukiwania odkryją nam w każdej z tych dwu części, ściśle ze sobą związanych hydrograficznie i historycznie, nowe przeciwieństwa i naturalnie w górach liczniejsze niż na równinach. I tak np. spostrzegamy przede wszystkim kontrast między Tyrolem i dalej na wschód leżącymi krajami alpejskimi, uwarunkowany przez kierunek głównych dolin; dalej pośród ostatniej części spotykamy kontrast między Krainą i Karyntią, które posiadają kotłiny centralne, a pozostałymi krajami — Austrią, Salzburgiem i Styrią — które nie posiadają takich centrów i dlatego muszą swe środki ciężkości przenosić po za góry na wyżynę lub w krainę pagórkowatą. Inna grupa kontrastów rozwija się z różnic między pojedynczymi częściami gór co do wysokości, budowy i natury skał. W obrębie każdego większego systemu dolin spotykamy kontrast między dolinami podłużnymi i poprzecznymi i na koniec dochodzimy do występującego wszędzie kontrastu między górą i doliną. Dodajmy do tego, że w rozwoju czasu jeden lub drugi kontrast występował silniej, gdyż produkcja i komunikacja ulegały różnym zmianom — przypomnijmy tylko dawne znaczenie Tyrolu i Tauernu ze względu na wydobycie metali szlachetnych, a obecne znaczenie wschodniej części Alp dla produkcji węgla kamiennego i górskich kolei żelaznych itd. Widzimy z tego wszystkiego, jak wielkie i płodne pole pracy naukowej otwiera nam się tutaj, pole, którego żadna inna nauka nie stara się objąć. *W pojęciu więc sąsiednich geograficznych kontrastów znajdujemy środek, w którym przyroda i życie narodu spletają się ze sobą w jedną całość*. Stąd wynika, że zadanie chorologii tkwi: 1) w skonstatowaniu, scharakteryzowaniu i przyczynowym uzasadnieniu sąsiednich kontrastów geograficznych, 2) w zbadaniu ich wpływu na materialną kulturę i polityczne losy mieszkańców w przeszłości i teraźniejszości.

I tutaj znowu widzimy, iż ograniczenie

wprowadzone przez Supana jest zbyt wąskie, albowiem mimo tego ograniczenia w powyższych dwóch punktach występuje znowu ów „fatalny“ dualizm, którego Supan właśnie chciał uniknąć. Inaczej być nie może: geografia jako nauka, obejmująca *ogół* zjawisk ziemskich (przyrodniczych i ludzkich) w ich wzajemnym *związku*, musi z powodu pierwszej części tej definicji teoretycznie przedstawiać dualizm, z powodu zaś drugiej — praktycznie stanowić jednolitą całość, spajającą dwa światy zjawisk: świat przyrody i świat człowieka, które tylko pozornie są różne. Jedynie tylko wtedy, gdybyśmy chcieli trzymać się koniecznie tradycyjnego traktowania człowieka w oderwaniu od natury, dualizm ten byłby niepokonanym i w praktyce, a geografia nie istniałaby jako nauka jednolita, lecz jako dwie nauki, nie wspólnego ze sobą niemające. A jednak rzecz niepojęta: niektórzy nasi geografowie (?) występowali przeciw niżej podpisanemu właśnie z powodu niezachowania przezeń owej „tradycji“ i ani się nawet domyślali, że była to z ich strony zupełna negacja geografii. *O sancta simplicitas!*

Zrozumiałą jest rzeczą, mówi dalej Supan — że taki sposób traktowania da się zastosować tylko do zamieszkałej części powierzchni ziemi (w pierwszym jednak z dwóch powyższych punktów Supana da się zastosować i do niezamieszkałej); można by tę część określić jako obszar *czynnych*, kraje zaś niezamieszkałe, jako obszar *uśpionych* (lepiej: *potencjalnych* *) kontrastów. Ale i w pierwszych występują najprzód tylko kontrasty bezpośrednio sąsiednie, działają tylko geograficzne miejscowości w najściślejszym tego słowa znaczeniu. W ciągu jednak rozwoju dziejowego miejscowości te zrastają się w prowincje geograficzne i wtedy występują geograficzne kontrasty wyższego rzędu — kontrasty prowincyj. Głęboki kontrast np. między Europą zachodnią i wschodnią występuje czynnie dopiero w nowych czasach, a kontrast między Europą i Ameryką północną nawet dopiero od niewieleu dziesięcioleci. Jeden z najpotężniejszych kontrastów, kontrast między pasami klimatycznymi, stał się czynnikiem panującym w historii ludzkości dopiero wskutek olbrzymiego rozwoju handlu i kolonizacji. Tym sposobem chorologie poszczególnych krain rozszerzają się do *chorologii ziemi*, zupełnie tak samo, jak historie specjalne rozszerzają się do historii świata. I jak historia świata powinna być czemś więcej, niż prostym zbiorem historii specjalnych w chronologicznym porządku, podobnie i chorologia ziemi powinna osiągać stanowisko samodzielne przez to, iż, zapatrując się z wyższego punktu, obejmując szerszy widnokrąg niż chorologie poszczególnych krajów, powinna za cel swych badań obrać te kontrasty geograficzne, które występują jako czynniki kierownicze w historii rozwoju ludzkości.

Kończąc na tem streszczenie odczytu Supana, dodamy do uwag poprzednio już czynionych, że jakkolwiek nie zgadzamy się z autorem na jego ograniczenie geografii specjalnej prawie tylko do ekonomicznej, to jednak musimy przyznać, że Supan swą ideą geograficznych kontrastów zwrócił uwagę na zjawisko mało dotąd uwzględniane, oraz, że oddzieleniem geografii specjalnej „spekulacyjnej“ (my nazwalismy ją „rozumową“) od opisowej i przyznaniem tylko pierwszej prawa nauki zrobił nowy wyłom w bezdusznym tradycyjnym traktowaniu geografii specjalnej jako zbioru faktów. Ze ten tradycyjny mur trzyma się jeszcze a nawet występuje zaczętnie i że

*) Albowiem same kontrasty są widoczne, tylko ich siła, ich wpływ na człowieka nie może się w danej chwili ujawnić.

ten nowy poeisk nie jest spóźniony — dowodem napasci, jakich ze strony naszych krytyków doznała „geografia rozumowa“ *).

W. Nalkowski.

LITERATURA I SZTUKA.

NOWY SŁOWNIK NAUK PAŃSTWOWYCH.

W literaturze politycznej Niemiec zauważyć można od pewnego czasu stagnację: ilość dzieł, ukazujących się w handlu księgarskim, jest mniejsza niż zazwyczaj, a w pismach fachowych spotykamy prace samych niemal młodych, nieznanych autorów. Przyczyną tego zjawiska jest wydawnictwo olbrzymiego dzieła zbiorowego, p. n. *Słownik nauk państwowych (Handwörterbuch der Staatswissenschaften)*, w którym uczestniczą wszyscy niemal wybitni na danem polu uczeni, a które wychodzi zeszytami, pod redakcją profesorów: J. Conrada i E. Loeninga w Halli, W. Lexisa w Getyndze i L. Elstera we Wrocławiu **).

Program dzieła nie zupełnie odpowiada jego tytułowi. Nie będzie to bowiem słownik nauk państwowych, o zakroju znanych zbiorów Rottecka i Welsblera, lub Bluntschlego: kwestye konstytucyjne i administracyjno-prawne, o ile są czysto formalne, nie znajdują w nim uwzględnienia. Lecz z drugiej strony nie będzie to wyłącznie słownik ekonomii politycznej, podobny do dzieł, wydanych przez Guilaumina i Coquelina, Bronarda lub Macleoda. Nowe wydawnictwo uzupełnić ma poniekąd zbiory dawniejsze: przedstawi ono gospodarcze i społeczne zjawiska wszystkich krajów cywilizowanych w ich rozwoju historycznym; dalej — ustawodawstwo i statystykę ekonomiczno-społeczną, wreszcie główne rezultaty dyskusyj parlamentarnych i literackich o współczesnych zagadnieniach gospodarczych i społecznych.

Słownik ten obejmie 6—7 tomów, 300—500 arkuszy druku. Publikacja ma być ukończoną w ciągu trzech lat, a więc potrwa do połowy 1893 r. Łatwo tedy zrozumieć, że produkcja na polu nauk państwowych

*) Jeszcze przed kilku dniami jeden z naszych historyków robił ustnie ciężki zarzut „geografii rozumowej“, iż nie mógł znaleźć tam potrzebnej mu wiadomości, w jakich miastach amerykańskich są uniwersytety; kto inny zrobił zapewne równie słuszny zarzut, że nie wliczono tam najbardziej renomowanych hoteli (itp.) w miastach Europy itd. itd. Na nasze zaprzeczenie, iż takie rzeczy do geografii nie należą, oponent nasz przytoczył znane zdanie pewnego nieuka: „po co się uczyć geografii, klepy furman zawiezie nas gdzie potrzeba“, ani się domyślając, że nie jest to bynajmniej poparciem tradycyjnego pojęcia geografii, lecz jego gryząca krytyka: widoczna bowiem jest rzeczą, że pojęcie geografii owego „nieuka“ zupełnie godzi się z pojęciem o niej mego oponenta, różnica jest tylko ta, że „nieuk“ uważa uczenie się *takiej* geografii za bezużyteczne, i, choć nieświadomie, ma zupełną rację; mój oponent zaś każe się uczyć *takiej* geografii i nie ma racji. Dziwi nas doprawdy odwaga tych panów, którzy nie śledząc za postępiami geografii, nie mając najmniejszego wyobrażenia o jej olbrzymim rozwoju od czasów Czarokwiskich et Comp., mają pretensje do ferowania wyroków w tej kwestyi i sądzą, że geograf nie ma nic lepszego do roboty, niż łamać sobie głowę nad tem, jakie informacje mogą być potrzebne historykom, handlarzom, turystom, chorym udającym się do wód itd. Istotnie panowie, co do *waszej* geografii, to „nieuk“ miał rację: te rzeczy zostawmy furmanom, szwajcarom hotelowym, faktorom, zresztą reisebuchom, kalendarzom itp. Nie narzucajcie panowie historycy i niehistorycy tych rupieci geografom, trud wasz daremny; raczej wytwórzcie w nas przekonanie, że i wasza wiedza jest jedynie workiem przeróżnych wiadomości.

**) Jena, G. Fischer. Tom I. 1889—90

FEJLETON.

LIBERUM VETO.

dziś i na lat parę znacznie zredukowaną być musi, skoro wszystkie siły wybitniejsze skupiają się około wielkiego dzieła.

Poruszono pytanie w organach fachowych, czy dzieło to użytecznością swą odpowiadać będzie złożonemu w niem kapitałowi pracy umysłowej.

Jasną jest dla każdego konieczna potrzeba słownika, któryby, wobec rozgałęzionej niesłychanie i zróżniczkowanej literatury nauk państwowych, przedstawił treściwy obraz ich zdobywcy. Na podstawie zeszytów dotychczasowych sądzić możemy, iż nowy ten słownik będzie wybornym źródłem informacyjnym nie tylko dla urzędników administracyjnych, mężów stanu i ludzi, oddanych zawodom praktycznym, lecz i dla uczonych. Już ta sama okoliczność, że ustawodawstwo gospodarcze i materyał statystyczny uwzględnione będą w sposób wyczerpujący, niepraktykowany w podobnych wydawnictwach, nadaje dziełu niezwykłą wartość, którą jeszcze podnosi obfita bibliografia, obejmująca wszystkie gałęzie nauk ekonomicznych i społecznych.

A jednak zauważyć należy, iż praca ta, pochłaniająca ogromny zasób siły umysłowej tylu uczonych, nie przyczyni się bezpośrednio do postępu nauk państwowych, gdyż poświęcona jest jedynie streszczeniu dotychczasowych wyników i że w tym względzie niepodobna dziś kusić się o całość jednolitą, bo na polu odnośnych nauk panują głębokie sprzeczności w poglądach zasadniczych, sprzeczności, które odbijają się muszą w sposobie pojmowania i traktowania wszystkich faktów i szczegółów. Wystąpią one w tem nowym dziele zbiorowym z siłą nie mniejszą, niż w Schönberga słowniku ekonomii politycznej.

A jednak, mimo to wszystko, dzieło podobne niezbędne jest w naszych czasach. Trudność informowania się, na podstawie źródeł lub prac, rozrzuconych po pismach fachowych, zwiększyła się w ostatnich latach znacznie. A na żadnym może polu nie daje się uczuć tak konieczna a powszechna potrzeba dokładnej informacji, jak na niwie gospodarstwa państwowego, polityki społecznej i skarbowości. Życie polityczne a nawet prywatno-gospodarcze zmusza wielu do wygłaszania sądów lub do powzięcia decyzji w odpowiednich kwestiach, których traktowanie wymaga głębszej wiedzy fachowej. Tę potrzebę ma głównie zaspokoić słownik nowy. Redaktorowie zrezygnowali z systematycznego, jednolitego traktowania przedmiotów, poprzestając na alfabetycznym uporządkowaniu materyału. Tom pierwszy, dopiero co właśnie zamknięty, obejmuje kwestye najżywotniejsze: sprawę robotniczą, towarzystw akcyjnych, polityki agrarnej, emigracyi, ustawodawstwa dla ubogich itp.

Zaznaczamy, że i w innych krajach potrzeba wydawnictw podobnych wystąpiła w ostatnich latach silniej, niż przedtem. Guillaumina i Coquelina *Dictionnaire d'Economie Politique* pojawia się w nowym wydaniu pod redakcją Leona Saya i J. Challeya (nakładem Guillaumina); nadto Say publikuje osobny *Dictionnaire de Finance*. W Anglii wydaje R. H. Inglis Palgrave *Dictionary of Political Economy* (nakładem Mac Millana). We Włoszech Brocarda *Dizionario universale della Economia Politica e del Commercio* pojawił się w wydaniu nowym, uzupełnionem. Dla Ameryki wreszcie wydał Laler *Cyclopaedia of Political Science, Political Economy and of Political History of the United States*.

L.

Papierowy plaster na ranę społeczną. — „Garnuszek” *Kolców* przed surowym sądem. — Siła nałogu i ofiar y niedbalstwa. — Kasa artystów i osób do teatru należących. — Filantropijna czy finansowa. — Skargi. — Nowy rój w ulu Stowarzyszenia subiektów handlowych wyznania mojżeszowego. — Odmowa Siemiradzkiego. — Potrzeba zmiany przeznaczenia zapisów.

Najlaskawszej krytyce podlega u nas gruba książka, surowszej — broszura, a najsurowszej — pojedynczy numer pisma. Niedawno wyszło (zamiełmy jego tytuł) obszerne dzieło z mapami i rysunkami, które od początku do końca, od pierwszego do ostatniego wyrazu składało się z samych niedorzeczności, a jednakże zyskało kilka pochlebnych wzmianek. Natomiast nie pojawił się nigdy taki zeszytek lub arkusz druku, któryby (jeżeli o nim mówiono) nie był poszukany na najdrobniejsze włókienka. Przyczyna tego objawu bardzo prosta: do przeczytania grubej książki potrzeba dużo czasu, a często też znajomości rzeczy, do przeczytania zaś kilku kartek lub szpalt wystarczy jedna godzina lub pół, bez wielkiego zapasu wiedzy. Dlatego to najchętniej i najobszerniej piszemy o zeszytkach, artykułach i... sztukach granych w teatrze, które się poznaje w warunkach przyjemnego spędzenia wieczoru. Dlatego również rozprawiamy szeroko i surowo o t. zw. jednodniówkach. Przed kilku laty rozdziła je moda tak obficie, że aż usiłowano zapobiedz tej płodności. Na każdą ranę społeczną — od wody, ognia i głodu — miłosierdzie przykładano ten papierowy plaster, a publiczność, która z początku rozchwytywała go w lot, zaczęła wreszcie użyć się jednostajnością. Wreszcie po długiej przerwie redakcja *Kolców* wskrzesiła jednodniowego motyla i ubrawszy go w jaskrawe barwy, kazała mu z kieszeni ludzkich zbierać miód „na garnuszek” dla „niemowląt pozbawionych rodziny.” Takie bowiem przeznaczenie otrzymał czysty dochód z wydawnictwa, który ma być złożony warsz. Towarzystwu dobroczynności. Płód ten przyszedł na świat bez mocy oczarowania go: poczęty naprzód jako dziecie dobrego humoru, przybrany został w czapeczkę błazna, w petrote sukienki i wesołe zarty; następnie domieszano mu do śmiechu rysy powagi i smutku, tak, że oblicze jego jak gdyby zlepięte z dwu odmiennych twarzy, z których większa drwi a mniejsza płacze. Obrzucenie siatką humorystyczną tragedii losu dzieci opuszczonych i „na garnuszek” skazanych, zwłaszcza po świeżem odkryciu ich szlachtuza u Skublińskiej za zbyt ostry tworzyło kontrast wesela z niedolą, ażeby myśl taką można było nazwać szczęśliwą. Wszystko to prawda. Ale jeśli zważymy, że uzbieraniem grosza dla małych nędzarzów zajęła się redakcja tygodnika humorystycznego, która na wydawnictwie musiała odbić swój charakter, że ono niczem więcej nie jest i być nie pragnie, jak skarbonką kwestarską, to zaiste trudno pojąć, czemu z kilku stron poszturgnięto ją gniewnie. Nad czem tu się pastwić i co sążniami mierzyć! Czy lepsze od niej są koronki, atłasy i materye różnobarwne, wirujące na balach dobroczynnych „dla ulżenia nędzy”? Czy ten, chociaż dość zwykłymi wstęgami związany wianek myśli nie więcej wart od tanecznej zabawy, z której zbytek otrzymuje tysiące rubli, a ubóstwo dziesiątki? Wyznajemy, że dla nas po nad wszystko wstętniejszą jest filantropia tańcząca, która jednak nie tylko cieszy się pobjazliwością, ale nawet wielkiem uznaniem.

Zawartości „garnuszka” *Kolców* nie robieramy. Jest to mieszanina okrucich i skrawków, cennych i poślednich, niepo-

śledniejszych wszakże od zwykłego bigosu literackiego. Zapuszczać głęboko zęby krytyczne w taką przyprawę byłoby poprostu rzeczą śmieszną, podczas gdy można zachować się daleko poważniej, zachęcając wszystkich do kupowania kwestarskiego zeszytu. Im liczniejszy będzie on miał nabywców, tem więcej z 50 kop. jego ceny odpadnie dla nieszczęśliwych dzieci. Ten wzgląd powinien być pobudką wystarczającą dla każdego, kto umie zdobyć się na coś więcej, niż na gromienie Skublińskich.

Niedługo zaczniemy wydawać jednodniówki na korzyść rozbitych lub zabitych mularzów i pozostałych po nich rodzin. Co kilka dni bowiem pisma donoszą o nieszczęśliwych wypadkach przy budowie i odnawianiu domów, o spadnięciach, o połamanych zebrach, nogach i rękach lub roztrzaskanych czaszkach. Z nielicznymi wyjątkami prawie zawsze przyczyną nieszczęścia jest lichy zabezpieczenie pracujących, którzy stoją na drabinie przyczepionej do sznurów i nakrytej deską a przy najmniejszej nieuwadze lub zawrocie głowy spadają ze znacznej wysokości na bruk. Zalecone dla tych ptasich grzęd siatki bądź nie stanowią dostatecznej ochrony, bądź też nie zawsze są stosowane. Zdawałoby się, że najsilniejszym w człowieku jest instynkt samozachowawczy, który uprzytomnia mu ciągle potrzebę i środki bronięcia swego życia. Tymczasem nieraz daleko mocniejszym od niego bywa nałóg. Od wieków zapewne mularze przy odnawianiu kamienic używają nieotoczonych żadną baryerą drabin na sznurach i pomimo że ustawicznie oplacają to rusztowanie zyciom lub kalectwem, zastrzymali je dotąd. Umocniony tym nałogiem i złączoną z nim brawurą upór nie ustąpi ani przed namową, ani przed rozumowaniem, ani przed dbałością o własne życie, tylko przed zakazem. Polecono też istotnie, ażeby mularze odnawiali domy w rodzaju ruchomych balkonów, ale nacisk był za słaby, więc nie wywarł uległości powszechnej. A tylko stanowczy i bezwzględnie obowiązujący przepis mógłby zapobiedz smutnym i tak częstym wypadkom. Jeżeli nie wolno służącym myć okien na piętrach od strony zewnętrznej, należy również zabronić pracownikom mularzom na wiszących drabinach, niezaopatrzonych stosownem otoczeniem. Koszty takich bezpiecznych przyrządów będą tak niewielkie, że bez wysiłku ponieść je mogą przedsiębiorcy i majstrowie mularscy, a ileż to oszczędzi się ofiar, ile boleści i nędzy rodzinom, pozostałym po zabitych ojcach!

Skutkiem szybko wzrastającej niemocy ekonomicznej lichwa wżera się coraz głębiej w organizm społeczny. Na wielką skalę odbywa się sprzedaż dusz dyabłom i wystawianie im cyrografów za chwilowe ulgi w życiu. Obok pijawek drobnych i rozrzuconych wysysają krew klas uboższych potwory, zwane lombardami prywatnymi, dorównyujące nieraz swą żarłocznością najokrutniejszym osobnikom lichwiarskiego rodu. Jest tych gniazd gadzinowych w Warszawie mnóstwo; nie wszystkie jednak odsłonięte i dla kontroli dostępne; najgorsze ukryte są w norach, do których tylko trafić umie po krętych ścieżkach nędza. Niektóre wszakże działają jawnie. Otóż te z pobudki p. oberpoliemajstra postanowiono zreformować. Podzielono je naprzód na dwie kategorie: do pierwszej należą 4 większe, trudniące się wypożyczaniem sum znacznie większych i czyniące wybór w przyjmowaniu zastawów, do drugiej — 22 mniejsze, działające wśród klas ubogich. P. oberpoliemajster zwrócił się do lombardu akcyjnego, jako najbardziej umiarkowanego, z propozycją założenia kilku filij w rozmaitych dzielnicach miasta dla ludności biedniejszej. Zarząd wszakże tego przybytku zasłonił się bezwładnością i odłożył swą odpowiedź do zebrania się akcyonariuszów we wrześniu. Tymczasem zanim komisye, złożone z przedstawicieli władz i obywatelstwa, wypracują

ustawę nadzorcą dla lombardów prywatnych, postanowiono skrepić nieco ich właścicieli w możności robienia nadużyć i zmusić ich do prowadzenia ksiąg buchalteryjnych.

Nie mogąc przerobić budowli, łątajmy przynajmniej dziury. Czy lombard akcyjny zgodzi się na otworzenie filij — nie wiadomo, w każdym razie zdaje się, że nie będzie on miał wielkiej chęci do wdania się w te drobne operacje pożyczkowe, których potrzebuje ludność uboga. A o tę ludność przedewszystkiem chodzić nam powinno. Czy bowiem jakaś dama dostanie gdzieś pieniądze na zastaw swych klejnotów dla sprawienia sobie nowej sukni, lub jakiś pan — dla wypłacenia pensji swej utrzymance — to nas nie dręczy; ale czy biedny rzemieślnik lub robotnik znajdzie tanią pożyczkę dla kupienia towaru lub nakarmienia dzieci — wątek tej kwestyi powinien się owinać około naszego serca. Zakładanie lombardów o tyle filantropijnych, ażeby nie żyły lichwą, lecz zadawały się umiarkowanym procentem, jest sprawą nagłą i bynajmniej nietrudną do urzeczywistnienia. Bo ryzyka tu niema, akapitalista obok bezpieczeństwa dla swych pieniędzy i godziwego procentu mieć będzie w dodatku zadowolenie, że wyświadczył usługę biedakom.

Czy „Kasa pożyczkowo-wkładowa artystów i innych osób należących do składu teatrów warszawskich“ jest instytucją filantropijną, czy też finansową? P. Kotarbiński, członek zarządu, odmówił jej stanowczo charakteru dobroczynnego, uczestnicy zaś, zwłaszcza skromniejsi, bronią tego jej znamienia. I, zdaniem naszym, mają zupełną słuszość, którą krótko a całkowicie uzasadnić ich rzecznik w jednym z *Kuryerów*. Bo jeżeli — powiada on — Kasa nie jest filantropijną, to dlaczego przyjmuje darowywane jej fanty na tombole i naddatki przy sprzedaży biletów na swoje widowiska? Istotnie, cóżbyśmy rzekli, gdyby np. Kasa przemysłowiec warszawskich urządziła sobie tombole oraz przedstawienia i brała od publiczności fanty oraz naddatki? Zapytalibyśmy ją, czy jest dobroczynną i czy rozporządza swymi funduszami zgodnie z tym charakterem. O to pytać nie potrzeba, tylko żądać tego należy od Kasy artystów i osób do teatru należących. Skoro ona przyjmuje ofiary, musi być filantropijną i nie powinna rozdzielać wpływających do niej wsparć według dostatku, ale niedostatku swych uczestników. Jeżeli ktoś daje jej rubla, to przecież nie z intencją, ażeby z tego rubla najwięcej dostał pobierający największą pensję. Zauważyć przytem trzeba, że największą część swych dochodów czerpie Kasa z tych ofiarniczych źródeł, ze składki publicznej. „Grono“ jej członków przesłało nam skargę, żalącą się na wiele innych nieprawidłowości. Nie powtarzamy ich tu, gdyż „grono“ to zwróciło się do nas bezimiennie, a głosów anonimowych uwzględniać nie możemy. O ile nam wszakże wiadomą jest gospodarka Kasy, na zewnątrz filantropijna, a wewnątrz finansowa, nie godzimy się na nią ani w zasadzie, ani w wykonaniu. Instytucja ta powinna sprawiedliwiej rozdzielać swoje fundusze, tj. punkt ich ciężkości przesunąć bardziej ku uczestnikom biedniejszym i żadną emeryturą na starość nieubezpieczonym. Powtóre należałoby w niektórych wydatkach ograniczyć zbytnią hojność. Tak np. — według sprawozdania — p. Janicki wykażał, że pensya buchaltera (który *nb.* nie należy do składu teatrów), wynosząca pierwotnie 300 rs., wzrosła do 900 rs., nie licząc kilkuset rubli gratyfikacji — na co zarząd odpowiedział propozycją... podwyżki. Doprawdy, jeżeli buchalter skromnej Kasy pożyczkowo-wkładowej teatrów pobiera tysiąc kilkaset rubli, to ileż potrzeba by płacić buchalterowi banku lub kolei żelaznej?

Żydzi dawali nam dotąd przykład solidarności. Chodzi nawet dotąd po świecie le-

genda o tem ich uzdolnieniu, chociaż mocno poturbowana dowodami przeciwnymi. Na coraz twardszych warunkach walki o byt pękają ogniwa łańcucha, spajającego to plemię i — jak wszędzie — interes jednostkowy pamięta wyłącznie o sobie. Zaprzeczyc jednak trudno, że instytucye izraelskie zachowały dotąd swój dawny cement i trzymały się krzepko. Ale widocznie i na nie przyszła kolej rozpadu. Bo oto zula „Stowarzyszenia subiektów handlowych wyznania mojżeszowego“ ma wylecieć i osiąść w innym nowy rój, któremu w starym niewygodnie. Pomijamy czas, nieśczęśliwie obrany na to wyrojenie się, które niewątpliwie pozostanie w granicach daremnego rozmachu; czegoż niezadowoleni żądać więcej mogą nad to, co posiadają w swej ustawie, zapewniającej im możność porozumiewania się, wzajemnego wspierania, przyjemności umysłowych i artystycznych? Czy nie lepiej i nie roztropniej wlewać młode wino w stary dobry wór, niż gonić za dziurawym nowym? P. J. Kaufman, założyciel instytucji, nie traci nadziei i nawołuje w (*Kur. codz.*) do zastanowienia się. Niech go usłuchają zwolennicy emigracyi, bo spróbowałszy szczęścia, niezawodnie wrócą do swego gniazda zawstyżeni i żałować będą nieogłędnego porwy.

Jak głosi wieść dziennikarska, Siemiradzki, obdarzony nagrodą z zapisu Barszczewskiego przez krakowską Akademię umiejętności, za obraz „Fryne“, odmówił przyjęcia odznaczenia, tłumacząc, że taka zachęta powinna być udzielana tylko artystom młodym i nieznanym, nie zaś znanym, którzy jej nie potrzebują. Siemiradzki ze swego stanowiska dowodzi słuszenie, ale co mają począć szafarze wszelkich legatów, jeżeli zapisodawca stanowczo wymaga od nich, ażeby wyznaczoną przez niego nagrodę przyznawali dziełom i utworom najlepszym, które bardzo często są pracami artystów lub badaczy „znanych“ i... zamożnych? Niema innej drogi dla uniknięcia tego szkopułu, tylko uwarunkowywanie zapisów na cele artystyczno-naukowe w ten sposób, ażeby one były istotnie zachętą i pomocą dla tych, którzy ich potrzebują. Bo jeżeli ktoś ustanowi premia za najlepsze obrazy, to z konieczności trzeba by będzie wypłacać Matejce lub Siemiradzkemu, artystom, którzy mają dość sławy i pieniędzy.

Z.

NA WIDNOKRĘGU.

Rzemieślnicy, jako pionierzy oświaty na wsi. — Kilka uwag. — Przepisy o sołtysach. — „Parcelowstręt“ chłopów pewnej okolicy. — Nowy rzut światła ze strony *Dziennika Warszawskiego*. — Projekt reformy szpitali prowincjonalnych.

Oświata ludu wiejskiego nie przestaje pokutować w naszych głowach. Jest to zresztą najżywotniejsza sprawa u nas na dzisiaj. Mrówcza praca Promyka, kwestyonarysze, pisma ludowe — świadczą najlepiej o tem. Cóż dalej? Inicytywa wychodzi z łona inteligencji, którą od ludu oddziela fatum i tysiąc przeszkód technicznych. „Gdzież więc na to środek zaradczy?“ — woła p. J. B. Koskowski w *Gazecie lubelskiej*. W zwlekaniu bawić się nie zawsze jest dobrze i nie jest to najprostszą drogą, prowadzącą do celu. Presya władzy i prawodawstwa jest tylko półśrodkiem. U dzieci napędzonych pod przymusem do szkoły, gdy podnieta do oświaty nie wychodzi z łona rodziców i otaczającej sfery, spotykamy się z niechęcią i lekceważeniem pracy. Uprzymiwnszy w ten sposób położenie, przychodzi p. K. do wniosku, czyli „rzucić“ nie zupełnie wprowadzie oryginalną, lecz dość ponętną i ciekawą „myśl.“ Rzemieślnicy

nasz składają się przeważnie z jednostek, które po skończeniu jednej lub dwu klas gimnazjalnych, idą do terminu w warsztatach większych miast. Sfera taka działa najczęściej na nich „zbawiennie“: nabierają w niej „trzeźwych“ zasad konieczności pracy, oszczędności, oświaty, słowem wznoszą się na wyższy szczebel kultury tegoczesnej. Tak ukształtowani moralnie i umysłowo, w pogoni za chlebem, rozpraszają się oni po prowincyi, gdzie odrazu otacza ich żywioł o niższym poziomie duchowym. Tu dopiero otwiera się dla nich pole oddziaływań. Postawieni potrzebą zarabkowania obok ciemnego chłopca, a trybem życia i rodzajem zajęć bardziej dla niego pociągającym, ci wychowawcy miast nieodzownie stać się mogą wzorem do naśladowania. „U jednego może się zrodzić pytanie — rozumie w dalszym ciągu p. K. — dlaczego nie zdoła dojść do podobnych rezultatów jakaś jednostka, obdarzona większym zasobem intelektualnego rozwinięcia? Dlatego, iż rzemieślnicy żyją, obracają się wśród ciemnych mas, które my znamy z oddali; następnie ubiorem swym, mową, wielu innymi cechami nie różnią się od owej sfery, asymilują się przeto łatwiej i wzbudzają w sobie ufność, która jest podkładem do dalszego działania.“ Jako przykład przytacza autor pomysłu fakt, dostrzeżony przez siebie w życiu. Zna on miejscowość, gdzie dwóch braci szewców zgodnością swych zasad z życiem potrafili stworzyć „pewną reakcyę wśród swej sfery“ i kilku nakłonili do zaarbonowania pism ludowych, kilkudziesięciu do czytania ich, do zaniechania trunków gorących itp.

Pomysł p. K. nie zraża nas, jak redakcyę *Gazety lubelskiej*, obawą „korupcyi moralnej“, którą rzemieślnicy większych miast mogliby wnieść pomiędzy niewinnych baranków-chłopków i pokalać to naczynie zdrowia narodowego. Sądzymy, że nawet w roli nieświadomych szerzycieli światła, jak żyjący autor, rzemieślnicy więcej by zdziałali, niż niejeden pełen najpobożniejszych pragnień „inteligent“, stojący bezradnie na krawędzi swego stanowiska społecznego i tęsknem okiem mierzący przepaść, która go oddziela od ciemnej masy przyszyłych odrodzicieli — od ludu. Ale coż dalej? Rzemieślników, w rodzaju przytoczonych dwóch braci szewców, wieś posiada dotąd bardzo mało, po miastach zaś ledwie oni wyżyć zdołają. Wystarczyłoby ich tylko prawidłowiej rozmieścić po wsiach i osadach, żeby się stało zadość temu, o czym marzy p. K. Zachodzi jednak pytanie, kto się podejmie kierownictwa w tem przedsięwzięciu, które musi być celowem, jeśli ma być skutecznem? Kto wytknie drogi, którym mają odpływać i wskazać miejsca, gdzie zecheć osiąść zbyteczni po miastach szewcy, krawcy, kowale, stolarze, kuśnierze? Bez energicznego udziału całego szeregu biur powiadowczych nie by tu wskórać nie można było. P. Koskowski w prostocie ducha sądzi, że siły inteligencji winnyby się „skojarzyć ku temu.“ Naturalnie — o ile tu wbrew niej coś się nie „przeciwskojarzy...“

Najniższy szczebel administracyi gminnej został mocniej wprawiony w drabinę społeczną. Według świeżo opracowanych przepisów o wyborze sołtysów, kandydaci na ten urząd muszą mieć co najmniej 25 lat wieku, być mieszkańcami wsi, w której chcą pełnić obowiązki odnośne, niekaranymi sądownie. Pierwszeństwo mieć będą byli wojskowi. Każdy sołtys może mieć w swym rewirze 100 do 500 dymów. Czas służby jest trzyletni. W razie jeśli władza zatwierdzająca sołtysa uzna jego postępowanie za korzystne dla gminy, może go pozostawić na urzędzie nadal bez ponownych wyborów. Wynagrodzenie tych urzędników, stosownie do środków miejscowych, wynosić będzie rs. 72 do 144 rocznie, przy czem ma on prawo do bezpłatnego mieszkania w gminie.

— Pomocnikiem prorektora przy katedrze anatomii w uniwersytecie warszawskim został mianowany p. Aleksander Lubarski, kandydat nauk przyrodniczych uniwersytetu noworosyjskiego.

— Specjalna komisja wojskowa opracowała nowy regulamin nauki maszerowania wojskowego i gimnastyki do użytku średnich zakładów naukowych. Regulamin ten będzie obowiązywać od przyszłego roku szkolnego. Dotychczas gimnastyka z ćwiczeniami wojskowymi prowadzona była przez nauczycieli dorywczo i bez ogólnego planu. Na zasadzie nowego regulaminu, w pewne dni tygodnia, przy skróconym czasie innych lekcji, będzie następował wymarsz na zewnątrz gmachu gimnazjalnego. Starsi uczniowie ćwiczenia musztry wojennej odbywać będą z drewnianą, podobizną broni pięciofuntowej wagi. W niższych klasach przeważać ma gimnastyka szwedzka.

Sprawy kolejowe. *Prawit.* *Wiestnik* ogłasza, że kolej Bydgoska przyłączona zostaje do Wiedeńskiej pod nazwą „Oddziału Aleksandrowskiego.”

— Międzynarodowe towarzystwo zaprowadza bezpośrednią komunikację wagonami sypialnymi między Wierzbolowem a Petersburgiem.

Biuro przeprowadzek. Celem pośredniczenia przy wynajmie mieszkań, przeprowadzek, utrzymywania czystości w lokalach, konserwacji mebli i garderoby, oraz w celu świadczenia innych usług właścicielom i lokatorom — zawiązuje się przedsiębiorstwo. Jeśli się istotnie zawiąże, nastąpi bolesna, lecz konieczna w dzisiejszych warunkach zmiana luźnych a dorywczych usług przygodnych „przeprowadzkarzy” (bole-

sna dla stróży, ubogich rzemieślników) — na stałe, wytworne i sferne służebników wielkiego kapitału.

Z prasy. Redaktor *Gazety świętochowskiej*, p. Prószyński (Promyk), otrzymał pozwolenie na pomieszczanie w wydawnictwie swoim rysunków, objaśniających artykuły rolnicze.

Wydział śledczy ma być zreformowany w całym państwie.

Wystawy. Ministerium dóbr państwa zezwoliło na urządzenie w r. b. dwudziestu wystaw przemysłowo-rolniczych w następujących miejscowościach: Petersburgu, Permle, Borysoglebsku, Kijowie, Felinie, Tukumie, Smoleńsku, Dorpacie, Walce, Wendenie, Zacharynie, Charkowie, Pirtynie, Pernowie, Oberpalenie, Jekaterynosławiu i Chersoniu.

Zmarli. Edmund Stawski, rolnik i ekonomista, autor dzieła p. t. „Poszukiwania do historii rolnictwa krajowego.”

ODPOWIEDZI REDAKCYI.

Czytelnikom. [Zwrócona do nas z wielu stron uwaga: „nie warto kłaść pióra walką z takim p. Piltzem”, byłaby słuszną, gdyby chodziło tylko o sam wstręt. Ale jeżeli obok *Prawdy* wystąpiły przeciw niemu *Wiek*, *Głos*, *Przegląd tygodniowy*, cztery pisma, które nie są połączone ani związkami osobistymi, ani wspólnością kierunku, a po części dążą rozbieżnie, to świadczy, że

owo wystąpienie ma swoje powody głębsze, które w imię obowiązku każą przemódz odrazę. Dopóki p. Piltz, który do literatury wcale nie należy, bo dla niej nie pracuje, tylko nią handluje, pozostawał na stanowisku liweranta, właściciela baraku i dostawcy sucharów dla wojska literackiego, eo najwyżej żartowano tylko z jego „próby moralnej”; ale gdy p. Piltz zaczął grać rolę generała, toczyć bitwy, wypowiadać wojny, zawierać traktaty i znieważać istotnych przywódców piśmiennictwa, przed którymi stać był powinien z obnażoną głową, sprowadzono go na właściwe miejsce i poddano rewizji jego kwalifikacye umysłowo-moralne. Bo byłoby to zaparciem się własnej i społecznej godności, gdyby pozwolono p. Piltzowi hetmanić i stanowić sąd, pletnący potwarzę ludzi uczciwych i zasłużonych. Nadeptany stopami czterech pism, naturalnie „pogardził” wszystkimi, ale ze szczególną zjadłością, wywołaną zarówno strachem, jak gniewem, zwrócił się przeciw naszej. O ile paszkwił jego zawiera o belgi — przyjmujemy je od takiego przeciwnika z najwyższym zadowoleniem; o ile zawiera dowody — przedstawiamy tymczasem na oświadczeniu, że cały wywód p. Piltza bądź przez sfałszowanie faktów, bądź przez krętarskie ich zwłazanie, bądź też — i nade wszystko — przez opuszczenie dokumentów dla niego niepożądanych — jest bezcelnem kłamstwem, które, wobec kilkakrotnego złamania przezeń warunków sobowłazania honorowego, już mamy prawo postawić i postawimy w całkowitem oświeceniu. Tyle na dziś.

J. Ty on. Egr. zajety studiami w Wiedniu, Br. ukończył świeżo pracę, którą drukować będziemy, a prztem jest chory, Bo — is to samo co N. B., N. ciągle pisuje. W jednym z najbliższych numerów *Prawdy* rozpoczniemy obszerny zarys działalności Prusa.

Panu F. W. z Hożej. Redaktor powrócił do Warszawy w poniedziałek i między 2—3 może udzielić Panu żądanych objaśnień.

O G Ł O S Z E N I A.

WYSZEDŁ 5-my ZESZYT WIELKIEJ Encyklopedyi Powszechnej ILUSTROWANEJ S. SIKORSKIEGO

opracowany przez najznakomitsze siły naukowe i literackie, zawierający w tekście oprócz drzeworytów tablicę akwarium i chromolitografię.

W ciągu roku wyjdzie 24 zeszytów, stanowiących 3 tomy.

Cena każdego zeszytu w Warszawie 50 k.

Na przesyłkę pocztową dopłaca się 10 k. od zeszytu.

Prenumeratorzy, opłacający odrazu należność za rok cały, czyli za 24 zeszytów (3 tomy), nie ponoszą kosztów przesyłki, zapłacą więc tylko rs. 12, zamiast rs. 14 k. 40.

Redakcyja i administracyja Chmielna Nr. 9.

NASZE PERFUMY

wyrabiane wyłącznie przez

Warszawskie Laboratorium Chemiczne

dorównywiają przysmaki najlepszym perfumom angielskim, będące o 40% od nich tańszymi. Dostać można w 15-tu pięknych zapachach.

Tomitek (Heliotrop).
Konwalia majowa.
Fijolok.
Bukiet Warszawski.
Bukiet Łazienkowski.

Rozwoń (Magnolia).
Róża mehowa.
Zamrocznia (Ixora).
Świeże siano.
Storczyk.

Rezeda.
Szczęśliwość.
Bodziek różanny.
Przepyszlin (Gardenia).
Kalina ordowid.

Jedyna cena flakonów oryginalnych 40 kop.

Dostać można: 1) Róg Miodowej i Senatorskiej, 2) Krakowskie-Przedmieście Nr. 1, 3) Róg Granicznej i Królewskiej, 4) Nalewki Nr. 31.

Nagrody z Wystaw za skuteczność:
Warszawa 1885, Warszawa 1886, Kraków 1887, Symferopol 1888.

11 TYŚIAC SWIADECTW!!
PEWNY SRODEK
EXSICCATOR
OSUSZA WILGOĆ,
ZABEZPIECZA DRZEWO
OD GNIA I GRZYB
Każd. — BROSZUR
KA ILUSTROWANA
BEZPŁATNIE
POSZUKUJE
AGENTÓW.
Wyn. Inż. G. Ritter.
KROLEWSKA 39.

Uwaga. Upraszam o zwrócenie uwagi na markę fabryczną, gdyż wiele pojawiło się fałszyfikatów.

F. Drechsler
Warszawa,
Leszno 14.



ROWERY od
rs. 125—250.
BICYKLE od
rs. 100—220.

Używane welocypedy od rs. 50.

!!Zniżone ceny!!

Księgarnia W. STEINBERGA

Marszałkowska 141.

poleca następujące dzieła:

Łoski Józef. Jan Sobieski, jego rodzina, towarzysze broni i współczesne zabytki. Dzieło ozdobione 50 rycinami, format in folio — z rs. 12 na rs. 6.
Weinert A. Starożytność Warszawy. Dzieło zbiorowe z rycinami, tom II, III, IV, V i VI, oprócz t. I — z rs. 12 na rs. 4.
Kaczkowski Zygm. Dzieła, tom IV, V, VI, VII, IX, X, XI — za rs. 3.
Merle El. Życie przyszłe, z tacek, wydania na język polski przeł. Jan Prusałajty, 2 tomy — z rs. 3 na kop. 75.
Dębicki Wł. M. Postęp, szczęście i przewrót społeczny. Wyd. 2-gie, 1886 r. — z rs. 1 na kop. 35.
— Bezwyznaniowość i jej przyczyły i skutki — kop. 20.
— Myśl i słowo, logika i gramatyka, Warszawa 1887 r., wyd. 2-gie — kop. 15.
— O zasadniczych różnicach psychicznych pomiędzy człowiekiem a zwierzęciem. Szkło lingwistyczno-psychologiczne, wyd. 2-gie, 1887 r. — kop. 20.
— Nieśmiertelność człowieka, 1890 r. — kop. 35.
Zaborski Wł. Darwinizm wobec rozumu i nauki. Kraków 1886 — kop. 70.
Księgarnia powyższe dzieła, jako też i innych autorów wysyła na żądanie za zaliczeniem pocztowym.

Zniżone ceny!

Do AMERYKI.
BILETY JAZDY
Holendersko-ame-
rykańskiego Towar-
zystwa żeglugi
parowej

w Kantorze Ekspedycyjnym
MAURycego LUXEMBURGA,
Jeneralnego Aienta Towarzystwa
w Warszawie, Erywańska 6.

Wszelkie objaśnienia szybko
i bezpłatnie.

Najkrótsza, najszybsza
i najtańsza podróż.

„Na Raty”
Lustra
sprzedaje miejscowym i na prowincye
Fabryka zwierciadeł
MAURycego Silberberga

8, Rymarska, 8.

Z powodu istniejących firm podobnych uprasza się o zwrócenie uwagi na

dokładny adres i Nr. 8.